

Od poszukiwacza
do przestępcy

Historia
latarki

Rasowe
terenówki z ramą

poszukiwania



Nr 01/2018 (40) styczeń 2018
www.poszukiwania.pl



**73. rocznica wyzwolenia
niemieckiego nazistowskiego
obozu Auschwitz**

Redaktor naczelny:
Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:
Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:
Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**
archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:
redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:
redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

SPIS TREŚCI

4	73. rocznica wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu Auschwitz	48	Bitwa pod Iłżą
9	Nielegalne poszukiwanie zabytków jest przestępstwem	50	Ernest Malinowski – budowniczy kolei transandyjskiej
14	Historia, pasja i ... zgubiony kalosz	54	Amunicja strzelecka. Iran
16	Moja tajna misja	55	Historia latarki
18	Badania na szczecińskim podzamczu	59	Mieczysław Pawlikowski – żołnierz i aktor
20	Archeolodzy w Działdowie na starym mieście	61	Pierwszy polski znaczek pocztowy
22	Nowatorskie badania nt. koni w średniowieczu	62	Przekroczenie przez wojska czechosłowackie linii demarkacyjnej
25	Największy zbiór malowanej pradziejowej ceramiki przebadany	64	Romuald Traugutt
27	Odkrycie stożkowo wydłużonych czaszek w Iranie	66	Wybuch powstania styczniowego
30	Książę – naga prawda o Włoszech epoki renesansu	68	Zamach stanu gen. Januszajtisa
32	Odkrycie we wczesnośredniowiecznym domu	72	Rasowe terenówki z ramą
34	Polskie Towarzystwo Geograficzne obchodzi stulecie istnienia	77	Historia kierownic w samochodach SKODY
36	Historia fajerwerków	80	Południowy Tyrol – niezapomniany urlop w gospodarstwie
39	Monety Zygmunta II Augusta 1545-1572 cz.2		

73. rocznica wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu Auschwitz



27 stycznia ponad 60 byłych więźniów Auschwitz spotkało się na terenie byłego obozu Birkenau, aby upamiętnić 73. rocznicę wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady. Honorowy patronat nad tym wydarzeniem objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda.

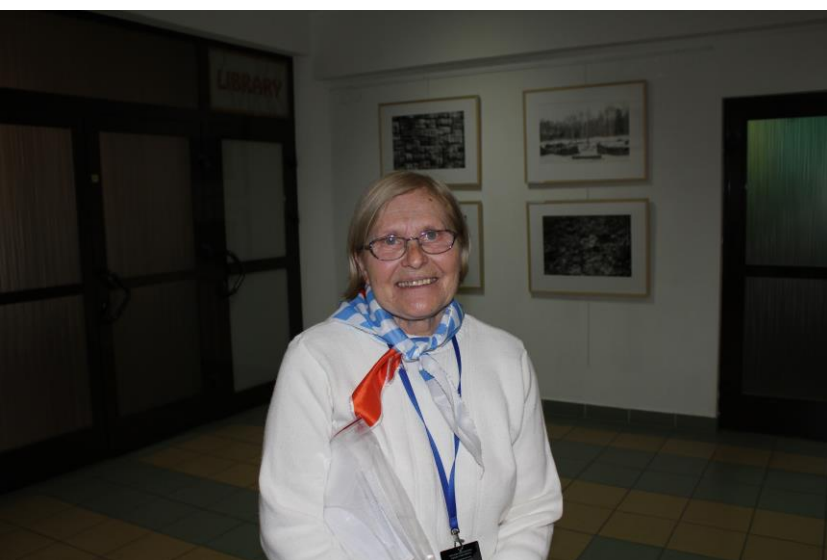
Świadkom historii towarzyszyli m.in. Premier RP Matusz Morawiecki, Wicepremier Beata Szydło, przedstawiciele władz państwowych Polski, grecki minister ds. polityki cyfryzacji, telekomunikacji i mediów Nikolaos Pappas, ambasadorowie i dyplomaci, przedstawiciele duchowieństwa, władz regionalnych,

samorządów, pracownicy muzeów i miejsc pamięci.

W 2018 r. obchodzimy 75. rocznicę uruchomienia na terenie obozu Auschwitz II-Birkenau czterech ogromnych komór gazowych wraz z krematoriami. Dlatego też wizualnym symbolem rocznicy była praca byłego więźnia Sonderkommando Davida Olère, który w swoich powojennych obrazach i rysunkach przedstawił tragedię ludzi mordowanych w komorach gazowych.

W czasie obchodów głos zabrały dwie były więźniarki Auschwitz, Maria Hörl i Bronisława Karakulska.

Maria Hörl urodziła się w 1942 r. jako Galina Bułchakowa. W czerwcu 1943 r. ujęta podczas pacyfikacji wsi białoruskich. Do Auschwitz została deportowana razem z matką i trójką rodzeństwa 15 kwietnia 1944 r. z Majdanka.



– O siostrze nie znalazłam żadnych informacji, o jej pobycie, wyglądzie, co działo się z nią w obozie. Być może nie byliśmy razem. Jedyne co, to fakt, że 19 stycznia 1945 r. była przy życiu. To był ostatni raz, gdy matka nas widziała, ponieważ mogła nas tylko raz w tygodniu widzieć i to około pół godziny. Matka została wysłana do Ravensbrück. Stamtąd wprost do Rosji – mówiła.

Galina została wyzwolona 27 stycznia 1945 r. i została umieszczona w domu dziecka: – Z obozu przewieziono nas do Harbutowic. Przez wiele lat nie wiedziałam nawet o tym. Dopiero na pierwszym spotkaniu z Dziećmi Oświęcimia, od starszych z nich o tym się dowiedziałam. Pierwsze nasze spotkanie zostało zorganizowane przez kustosza Tadeusza Szymańskiego. On zaczął się zajmować poszukiwaniami dokumentów dotyczących dzieci Oświęcimia. Dzięki niemu mogliśmy być poinformowani o naszej przeszłości – opowiadała.

W 1947 r. adoptowało ją małżeństwo z Krakowa. Swoją prawdziwą rodzinę odnalazła kilkadziesiąt lat później.

Bronisława Karakulska (z d. Horowitz) urodziła się w Krakowie w 1932 r. Podczas okupacji przebywała wraz z rodzicami i bratem Ryszardem w krakowskim getcie. Po likwidacji getta została przeniesiona do KL Płaszów, a następnie w została zatrudniona w Fabryce Wyrobów Metalowych i Naczyni Emaliowanych na Zabłociu kierowanej przez Oskara Schindlera. W październiku 1944 r. razem z innymi więźniarkami znajdującymi się na „Liście Schindlera” została przywieziona do KL Auschwitz, a następnie wywieziona do Brännlitz, gdzie przebywała do wyzwolenia.

– W czasie mojego pobytu w Auschwitz dwa razy zostałam w czasie selekcji uratowana od odstawienia do krematorium. Za pierwszym razem zostałam uratowana dzięki połknięciu brylantu, który mama dała aufseherin Orlowski. Za drugim razem uratowała mnie ciocia. Ukryto mnie w miedzianym węglowym piecu, gdzie siedziałam prawie dwie godziny.

To że zostałam uratowana z Auschwitz, zawdzięczam osobie Oskara Schindlera, który przekonał komendanta Hoessa o konieczności pracy kobiet i dzieci w kierowanej przez niego fabryce amunicji. Na dzień dzisiejszy jestem jedyną mieszkającą w Krakowie ocalałą przez Oskara Schindlera osobą – mówiła.

Premier Mateusz Morawiecki powiedział, że zbrodnie niemieckie, które zostały wtedy dokonane tutaj, w Auschwitz, to zbrodnie, które pojęcie zła, pojęcie nienawiści wyniosły na zupełnie inne, nieznanie do tamtej pory poziomy. – Pojęcie zła, które było złem w najczystszej postaci, skierowanym przeciwko człowiekowi, skierowanym przeciwko innym narodom. Ludzie, którzy tutaj byli przywożeni, mieli zostać pozbawieni człowieczeństwa, człowieczeństwa miało tutaj nie być. I w jakimś sensie nie było. I to nie ci ludzie byli pozbawieni tego człowieczeństwa, nie Żydzi, nie Polacy, nie Romowie, nie Rosjanie, tylko ci, którzy tej potwornej zbrodni się dopuszczali. To oni sami się pozbawili tego człowieczeństwa – powiedział premier.

– Ta straszna zbrodnia, która wtedy miała miejsce, jednocześnie oprócz oddzielenia od świata drutem kolczastym i wysokim murem, była też jeszcze oddzielona ideologią. Groźną, ciemną, straszną, hitlerowską, nazistowską ideologią. Dlatego nie ma najmniejszego przyzwolenia na żadne ideologie zbrodnicze, takie jak niemiecki nazizm, komunizm. I nie ma żadnego przyzwolenia na rasizm, antysemityzm na żadne takie zachowania. Dlatego będziemy pamiętać o wszystkich tych mechanizmach śmierci, które wtedy były stosowane, bo tę pamięć jesteśmy winni dziś żyjącym, ale jeszcze bardziej tę pamięć jesteśmy winni wszystkim ofiarom tamtych czasów – podkreślił.

– My, wszyscy rządzący, politycy, ale i wszyscy obywatele, w obliczu takiej tragedii, jaką była Shoah, pytamy się, co dalej? Co dalej? I odpowiedź na to pytanie jest zarazem bardzo trudna i łatwa. Wszyscy powinniśmy z największym wysiłkiem walczyć i dbać o prawdę, o sprawiedliwość i dawać światu nadzieję – zakończył swoje wystąpienie premier Morawiecki.

Minister Wojciech Kolarski z Kancelarii Prezydenta RP powiedział: – W imię ogólnoludzkiego dziedzictwa i przyszłości my, Polacy, zawsze będziemy pielęgnować pamięć o ofiarach Zagłady i świadczyć o niemieckich zbrodniach. Od samego ich początku próbowaliśmy zaalarmować wolny świat prawdą o Holokauście. Mężna działalność wspomnianych tutaj Witolda Pileckiego i misja Jana Karskiego są właśnie przykładami zaangażowania Polskiego Państwa Podziemnego. Ratunek nosła Rada Pomocy Żydom „Żegota”, działająca przy Delegaturze Rządu RP na Kraj. Tak jak wtedy, tak i dzisiaj pamiętamy, że trzy miliony osób zamordowanych w Holokauście – prawie połowa wszystkich ofiar – to mieszkańcy Rzeczypospolitej, nasi współobywatele.

– Polacy i Żydzi są wyjątkowymi kustoszami pamięci o ofiarach Zagłady i depozytariuszami przesłania, jakie z tej tragedii płynie dla społeczności międzynarodowej.

Z poświęceniem wypełnia te zadania wiele osób, środowisk i instytucji, z kluczową rolą Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, które opracowało uniwersalne zasady opieki nad miejscami zagłady, i Yad Vashem w Jerozolimie – dodał.

Ambasador Izraela Anna Azari, odnosząc się do wprowadzanych przez Polskę zmian w ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej, które jak zaznaczyła wzbudzają w Izraelu kontrowersję, powiedziała: – Mam nadzieję, że jak zawsze, jak dobrzy przyjaciele, Polska i Izrael znajdą drogę i wspólny język do tego, jak wspólnie będziemy pamiętać historię. Pamiętajmy o wszystkich, którzy zginęli w Zagładzie. – Izrael rozumie, kto budował KL Auschwitz i kto budował inne obozy. Wszyscy wiedzą, że to nie byli Polacy – dodała.

Ambasador Federacji Rosyjskiej, Siergiej Andriejew, powiedział: – Auschwitz jest takim miejscem, gdzie straszna tragedia przeszłości powinna służyć surową lekcją obecnemu i przyszłym pokoleniom, gdzie ma się wytwarzać trwała odporność ludzi na chorobę amnezji historycznej. Tu już na pewno nie powinno być wątpliwości, kto był oprawcami, kto – ofiarami i kto – wyzwolicielami. Niech nigdy się nie powtórzy obłęd Auschwitz. Niech nad wszystkimi będzie pokojowe niebo.

Dyrektor Muzeum Auschwitz, dr Piotr M. A. Cywiński, podkreślił, że „cały nasz świat żyje coraz bardziej tak, jakby niewiele nauczył się z



tragedii Szoa i obozów koncentracyjnych”. – Na kolejne odsłony ludobójczego szaleństwa nie potrafimy reagować skutecznie. Głód i śmierć wywoływane przez niekończące się walki nie mobilizują do skutecznych działań naszych instytucji i społeczeństw – mówił, podkreślając, że w tym samym czasie „nasze demokracje chorują na wzrost populizmu, egotyzmu narodowego, nowych form skrajnej mowy nienawiści. Brunatne ugrupowania bezczeszczą nasze ulice i miasta. Czyżbyśmy się tak bardzo zmienili w ciągu zaledwie dwóch-trzech pokoleń?”.

– Co się dzieje z naszym światem? Co się dzieje z nami samymi? Czy naprawdę pamięć nie niesie zobowiązania? A jeśli to nadzieja umiera ostatnia, to w czymże ma ona być zakorzeniona, jeśli nie właśnie w pamięci? Czy w kulturze, która stara się żyć bez świadomości śmierci, jest jeszcze miejsce dla pamięci o ofiarach? – powiedział.

– Nie chcemy na te pytania sobie samym odpowiadać, łatwiej je oddalić, wyśmiać lub zdyskredytować. I nieważne, co się dzieje w Kongo, w Birmie lub na sąsiednim osiedlu czy pobliskim stadionie – podkreślił.

Druga część uroczystości miała miejsce pod Pomnikiem Ofiar Obozu na terenie byłego Auschwitz II-Birkenau. Rabini oraz duchowni różnych wyznań chrześcijańskich wspólnie odczytali psalm 42 z Księgi Drugiej Psalmów, a

uczestnicy ceremonii złożyli przy pomniku znicze upamiętniające ofiary Auschwitz.

Wcześniej 27 stycznia byli więźniowie wraz z dyrekcją oraz pracownikami Miejsca Pamięci Auschwitz złożyli wieńce na dziedzińcu Bloku 11 w Auschwitz I.

Z okazji rocznicy w sali wystaw czasowych w bloku 12 na terenie byłego obozu Auschwitz I została otwarta wystawa „Listy... Kolekcja Władysława Ratha”, która prezentuje fragment niezwykle obszernej kolekcji dokumentów związanych z obozem Auschwitz i historią II wojny światowej, m.in. gett i innych obozów koncentracyjnych, stworzonej przez ocalałego z Holokaustu Władysława Ratha i przekazanej do Muzeum przez jego rodzinę. Cały zbiór liczy 1893 dokumenty oraz 29 fotografii.

Do momentu wyzwolenia terenów obozowych przez żołnierzy Armii Czerwonej, niemieccy naziści zamordowali w Auschwitz ok. 1,1 mln osób, głównie Żydów, a także Polaków, Romów, radzieckich jeńców wojennych oraz ludzi innych narodowości. Dziś dla świata Auschwitz jest symbolem Zagłady i okrucieństw II wojny światowej. W 2005 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych uchwaliła dzień 27 stycznia Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu.

Źródło: Auschwitz.org

Foto: Poszukiwania.pl



NOWOŚĆ



Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdego poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena



Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:



Treasure Pro

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

Nielegalne poszukiwanie zabytków jest przestępstwem



Od tego roku nielegalne poszukiwanie zabytków nie jest już wykroczeniem, a przestępstwem - powiedziała PAP dyr. Departamentu Ochrony Zabytków MKiDN dr hab. Katarzyna Zalasińska. Dodała, że trzeba edukować i uświadamiać, jakie zagrożenia może nieść niewłaściwe poszukiwanie zabytków.

PAP: Jakie zmiany zaszły w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami 1 stycznia 2018 r.

Katarzyna Zalasińska: 1 stycznia zmieniły się m.in. przepisy dotyczące kwalifikacji czynu nielegalnych poszukiwań zabytków - dotąd było to wykroczenie, obecnie - przestępstwo. Jest to o tyle istotna zmiana, że np. wielu nielegalnych poszukiwaczy zabytków to osoby wykształcone, niekiedy pełniące funkcje publiczne, np. funkcjonariusze służb mundurowych, urzędnicy czy nauczyciele. Dla nich skazanie za przestępstwo oznacza niemożność wykonywania zawodu, więc jest to bardzo dotkliwa kara. Warto dodać, że w przepisach nie nastąpiły

żadne zmiany w zakresie dotychczasowych obowiązków i zasad odnośnie poszukiwania zabytków. One są w identycznym brzmieniu od 2003 r., czyli od momentu, w którym obowiązująca ustawa została uchwalona.



PAP: Ile jest w Polsce osób, które zajmują się poszukiwaniem zabytków za pomocą detektorów, ilu wśród nich to nielegalni poszukiwacze.

KZ: Szacuje się, że takich osób, które w miarę regularnie poszukują zabytków za pomocą detektorów, jest ok. 100 tys. Z czego pozwolenia na poszukiwanie rocznie uzyskuje średnio 100 osób w skali kraju. Jest więc tutaj znaczny rozdźwięk między osobami, które poszukują zabytków, a tymi które robią to legalnie, a więc mają stosowne zezwolenie.

PAP: Co ministerstwo planuje zrobić, aby więcej osób legalnie poszukiwało zabytki.

KZ: Przygotowujemy z Narodowym Instytutem Dziedzictwa cały program działań edukacyjnych, które będą prowadzone w 2018 r. Prawdopodobnie rozpocznie się w marcu, chcemy również włączyć do współpracy wojewódzkich konserwatorów zabytków. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli bardzo konkretnie poinformować o terminach i konkretnych działaniach, które przez nas będą podejmowane. Te działania podejmują już muzea, a więc poszczególne działania jednostkowe już mają miejsce, ale powinna to być systemowa kampania w skali całego kraju.

Zadaniem, które stoi teraz przed MKiDN, jest podnoszenie świadomości wśród poszukiwaczy zabytków, jakie warunki muszą spełniać takie

poszukiwania. W związku z tym potrzebne jest stworzenie płaszczyzny współpracy ze środowiskiem poszukiwaczy, muzeami, jednostkami samorządu terytorialnego, organami ochrony zabytków, specjalistami, archeologami, ze szczególnym uwzględnieniem projektów edukacyjnych. Chcemy skoncentrować swoje działania na edukowaniu oraz uświadamianiu, jakie zagrożenia może nieść niewłaściwe poszukiwanie zabytków.

PAP: Jakie to zagrożenia.

KZ: Niewłaściwie prowadzone poszukiwania mogą być zagrożeniem dla dziedzictwa archeologicznego, gdyż wyrwane z warstwy kulturowej pojedyncze zabytki tracą wartość informacyjną, stają się dawnymi gadżetami, tracą tzw. kontekst archeologiczny. Właśnie oryginalne otoczenie jest tą najcenniejszą wartością dla zabytku, ponieważ jest źródłem informacji, które w przypadku niewłaściwie prowadzonych poszukiwań są bezpowrotnie tracone. Chodzi tu o nawarstwienia ziemne, które pozwalają na określenie datowania zabytku, jego powiązań z działalnością człowieka, a także na wskazanie okoliczności, w jakich dany zabytek funkcjonował, czyli właściwe odtworzenie wydarzeń z przeszłości. Szczególnie bolesne skutki przynoszą niekontrolowane poszukiwania warstw nowożytnych.

Przypominam, że przez polskie ziemie przetoczyły się dwie wojny światowe i wiele innych działań zbrojnych. Tragiczna historia XIX i XX wieku zostawiła pozostałości w ziemi. Zdarza się, że poszukiwacze natrafiają na szczątki ludzkie, np. żołnierzy z nieśmiertelnikami. Niestety ze smutkiem obserwujemy, że te nieśmiertelniki są obiektem obrotu kolekcjonerskiego, są one wystawiane na portalach aukcyjnych. Wyciągnięcie takiego nieśmiertelnika z ziemi jest bezpowrotnym odebraniem możliwości ustalenia tożsamości osoby, która tam zginęła.

Poza tym mamy wiele przypadków, kiedy w wyniku poszukiwań znajdowane są różnego rodzaju destrukty broni i niewybuchy, a w czasie amatorskich prób ich wydobywania i rozbrojenia dochodzi do niekontrolowanych eksplozji.

Zdarzenia takie prowadzą bezpośrednio do utraty życia i zdrowia przez poszukiwaczy.

PAP: Co trzeba zrobić, żeby legalnie poszukiwać zabytki.

KZ: Zgodnie z ustawą o poszukiwaniu zabytków jest to możliwe na podstawie pozwolenia, które wydaje wojewódzki konserwator zabytków. Należy złożyć wniosek i wnieść opłatę skarbową i na podstawie takiego pozwolenia można poszukiwać zabytki. Pozwolenie na poszukiwanie zabytków może otrzymać każdy, kto złoży do właściwego miejscowo wojewódzkiego konserwatora zabytków prawidłowo wypełniony wniosek. Wniosek taki musi zawierać dane wnioskodawcy, wskazanie miejsca prowadzenia poszukiwań, wskazanie przewidywanego terminu rozpoczęcia i zakończenia poszukiwań, program i uzasadnienie poszukiwań, a także potwierdzenie posiadania przez wnioskodawcę tytułu prawnego do korzystania z nieruchomości lub zgodę właściciela nieruchomości na prowadzenie na danym terenie poszukiwań. Uzasadnienie i program nie muszą być bardzo rozbudowane – wystarczy wskazać, dlaczego jesteśmy zainteresowani taką działalnością i jak zaplanowaliśmy przebieg poszukiwań.

PAP: Dlaczego jest istotne uzyskiwanie takiego pozwolenia.

KZ: Pozwolenie daje możliwość zetknięcia się urzędnika z poszukiwaczem; to jest bardzo ważny moment, w którym mamy szansę przekazać potencjalnemu poszukiwaczowi cenne informacje, uczulić go na pewne kwestie, przypomnieć np. o obowiązkach wynikających ustawy o ochronie zabytków, ale również z ustawy o rzeczach znalezionych. Zgodnie z tą ustawą nawet, jeżeli podczas poszukiwań znajdziemy rzecz nie będącą dobrem kultury, to powinniśmy to zgłosić i dopełnić określonych obowiązków. Na podstawie danych zawartych

we wniosku wojewódzki konserwator zabytków wskazuje również miejsca wyłączone z poszukiwań ze względu na istnienie tam stanowisk archeologicznych, cmentarzy, czy stref niebezpiecznych dla zdrowia i życia



ludzkiego. Jeśli chodzi o zabytki, w razie ich znalezienia powinno się przede wszystkim zabezpieczyć miejsce, w którym się znajdują. To bardzo ważne z uwagi na konieczność powiązania obiektu z otoczeniem, w którym został znaleziony. Bo - przypomnę - kontekst znaleziska jest wartością wiele mówiącą o historii danego obiektu. Zawsze należy też w takim przypadku zawiadomić wojewódzkiego konserwatora zabytków.

PAP: Kto zajmuje się monitorowaniem strefy poszukiwania zabytków.

KZ: Tego typu kwestia jest oczywiście obowiązkiem policji i takie działania policja prowadzi, natomiast bardzo ważną funkcję odgrywają służby konserwatorskie, w szczególności Narodowy Instytut Dziedzictwa. Naszą rolą jest podnoszenie świadomości, edukowanie. Są to np. wykłady w muzeach, spotkania z poszukiwaczami zabytków, tak żeby można było przy okazji wspólnych spotkań i przedsięwzięć przekazać tę niezbędną wiedzę, żeby pasja i potencjał środowiska poszukiwaczy

mógł być wykorzystany do dobrych celów, na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego.

Takich dobrych przykładów współpracy środowiska poszukiwaczy z archeologami, naukowcami mamy bardzo wiele. Archeolodzy często zapraszają detektorystów do udziału w prowadzonych przez siebie badaniach lub prowadzą różnego rodzaju szkolenia, podczas których uczulają na zagrożenia związane z poszukiwaniem zabytków, a także pokazują jak należy obchodzić się z zabytkami. Spotkania takie organizują także sami poszukiwacze. Jako przykład można tu wskazać odbywane cykliczne badania archeologiczne, prowadzone wspólnie przez archeologów i detektorystów na polach Grunwaldu czy działalność Brodnickiej Grupy Eksploracyjno Poszukiwawczej, która prowadzi poszukiwania w pełnej współpracy ze służbami konserwatorskimi, a także organizuje spotkania z ekspertami, podczas których omawiane są najważniejsze aspekty legalnych poszukiwań.

PAP: Czy za odnalezienie zabytku i oddanie go przysługuje nagroda.

KZ: Rzeczywiście od wielu lat obowiązują przepisy, które mówią o nagrodach ministra za znalezienie zabytków archeologicznych, ale nagroda taka przysługuje jedynie za przypadkowe odkrycia. Interpretacja tego przepisu, jego stosowanie, ale też pewne ratio legis jest jasne, to znaczy przypadkowe znalezienie zakłada, że nie ma tu elementu poszukiwania. To jest bardzo ważna kwestia... Mamy np. rolnika, który uprawiając rolę, znajduje zabytek, albo ktoś prowadzi prace w ogródku i znajduje jakiś obiekt - wtedy mówimy o przypadkowym odkryciu. Te znaleziska należy przekazać do wojewódzkiego konserwatora zabytków. Są ludzie, którzy prezentują taką doskonałą, obywatelską postawę i minister kultury oczywiście docenia to.

Trzeba pamiętać, że w Polsce, tak jak w wielu krajach, wszystkie zabytki archeologiczne są

własnością Skarbu Państwa. To jest zasada, która obowiązuje od bardzo wielu lat. W związku z tym to jest to prąródło i podstawa tej regulacji, którą teraz wprowadzamy i na tym zbudowane są wszelkie dalsze obowiązki, ograniczenia.

W przypadku znalezienia zabytków innych niż archeologiczne nie ma już ograniczenia co do przypadkowości. Jeśli zabytek został znaleziony w trakcie poszukiwań, to nagroda ministra może zostać przyznana, jeśli poszukiwania odbywały się na podstawie ważnego pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków, a znalazca dopełnił wszystkich wymaganych prawem obowiązków.

PAP: Zmiany dotyczące kwalifikacji czynu nielegalnych poszukiwań zabytków to nie jedyna zmiana w przepisach o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami.

KZ: Większość działań uznawanych do tej pory w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami za wykroczenia obecnie zostało objęte karami administracyjnymi, czyli należnościami pieniężnymi, które w razie naruszenie przepisów będzie trzeba na podstawie decyzji wojewódzkiego konserwatora zabytków zapłacić na rzecz Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków.

Kolejny przepis, który został zmieniony, dotyczy sankcji karnej za niszczenie zabytków, w tym stanowisk archeologicznych. W przypadku zniszczenia takiego stanowiska sprawcy grozi obecnie kara do 8 lat pozbawienia wolności.

Rozmawiała Katarzyna Krzykowska

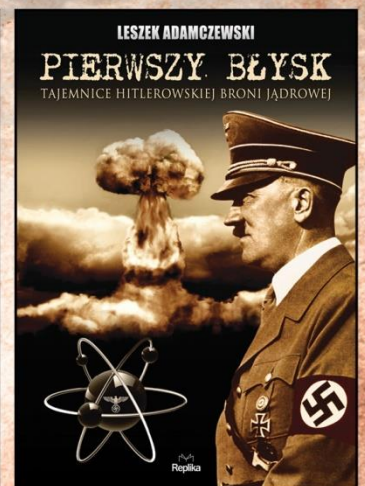
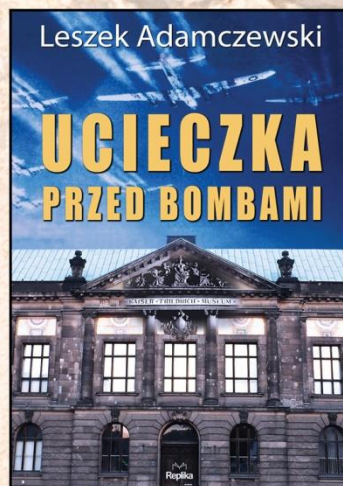
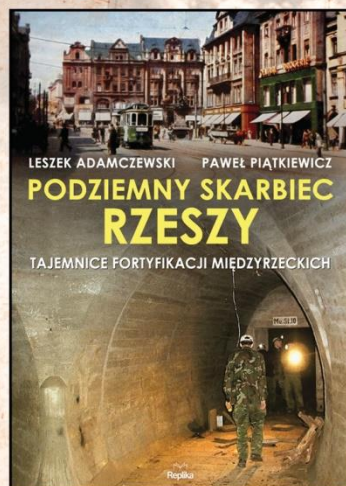
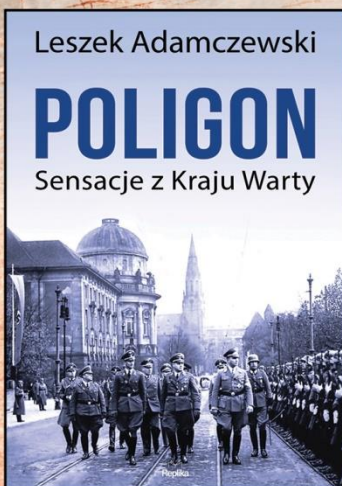
autor: Katarzyna Krzykowska

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Historia, pasja i... zgubiony kalosz



Moja przygoda z odkrywaniem skarbów z przeszłości rozpoczęła się dość niedawno i z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że w porównaniu do innych pasjonatów posiadam niewielkie doświadczenie w tej kwestii. Niemniej jednak chciałam podzielić się historią związaną z rozpoczęciem mojej przygody z eksploracją.

4 lata temu poznałam mojego chłopaka, który już od dawna pasjonował się historią i przeszłością, także tą jeszcze dotąd uwięzioną głęboko w ziemi. Z biegiem czasu rozumiałam jak ważną rolę odgrywa to w jego życiu. Bezustannie mi o tym opowiadał i choć na początku podchodziłam

do tego sceptycznie, wkrótce miałam przekonać się o tym jak ciekawa może być historia nie tylko ta w książkach. Pierwsze wyjście na poszukiwania pamiętam doskonale. Duży, piękny teren wokół zalesiony. Pogoda sprzyjała. Pierwsze „fanty” trafiły się po dość długim i niecierpliwym oczekiwaniu i wreszcie pierwsza moneta. Z ogromną ekscytacją i uśmiechem na twarzy krzyknęłam uradowana. Było to 10 pfeningów. Zbyt wiele mi to nie mówiło, ale niezmiernie się ucieszyłam. Z biegiem czasu coraz częściej zaczęłam wypytywać o wspólne wyprawy, chciałam przeżyć to jeszcze raz – ten dreszczyk emocji, ekscytacje i niecierpliwie oczekiwanie na kolejny sygnał.

Nie mam własnego wykrywacza, więc gdy tylko mam możliwość użytkowania sprzętu cieszę się jak szalona. Postanowiłam poszerzyć swoją wiedzę historyczną, więc zaczęłam doszukiwać się informacji, szczegółów, map, śledziłam różne strony internetowe, które miały mi w tym pomóc. Kolejne wyprawy stawały się dla mnie coraz bardziej ciekawe, a każdy „fant” stawał się dla mnie rzeczą wręcz bezcenną. Historia jaką dotąd znałam całkowicie zmieniła swoje znaczenie. Nie były to bowiem suche fakty zapisane wyłącznie w książce, odtąd miałam ją również w namacalny sposób – mogłam jej dotknąć, wyobrazić sobie co mogło dziać się



właśnie w tym danym miejscu, tu gdzie teraz jestem.

Trudno jest opisać uczucia, które towarzyszą każdej z wypraw i z jakim utęsknieniem czeka się na kolejną z nich. Pomimo tak krótkiego czasu jaki mogę dzielić swoją nowo odkrytą pasję z innymi mieliśmy mnóstwo przygód, a jedną z nich będę wspominać przez wiele lat. Jednego z upalnych dni ubiegłego lata wpadliśmy na pomysł, by wybrać się na wykopki z przyjaciółmi po zmroku. Noc była ciepła, warunki także niczego sobie i miejsce doskonałe.

Poszukiwanie w ciągu dnia jest ekscytujące, to co czuje się po zmroku jest wręcz nie do opisania. Nasza grupa postanowiła, że „fanty” oglądamy razem pod koniec eksploracji. Każdy sygnał, znalezisko, którego w sumie nie jesteś w stanie określić jest zagadką, którą odkryć można dopiero, gdy zakończymy nasze poszukiwania.

Zabraliśmy się więc czym prędzej do pracy. Nie trwało to jednak zbyt długo. Po jakiejś godzinie zauważyliśmy biegnącego w naszym kierunku mężczyznę, który na pewno nie wyglądał jak ten, który udzielił nam pozwolenia poprzedniego dnia. Im bardziej się zbliżał tym bardziej byliśmy o tym przekonani. W panice zaczęliśmy uciekać w drugą stronę. Szczerze przyznaję, że jeszcze tak szybkiej ewakuacji nie widziałam. Uciekaliśmy gdzie pieprz rośnie, lecz mężczyzna biegnący wraz ze swoim niedużym, lecz dziarskim psem nie dawał za wygraną. Niczego nieświadomi (a przynajmniej ja) biegnę tak w lekko przydużych kaloszach, gdy nagle wpadam w dość spory dół. Kompletnie zapomniałam o rowie między miedzą na naszej linii odwrotu biegnącego tuż naprzeciw nas i wpadam do niego z hukiem, a że niestety nie jestem zbyt szybka to całkowicie zostałam w tyle.

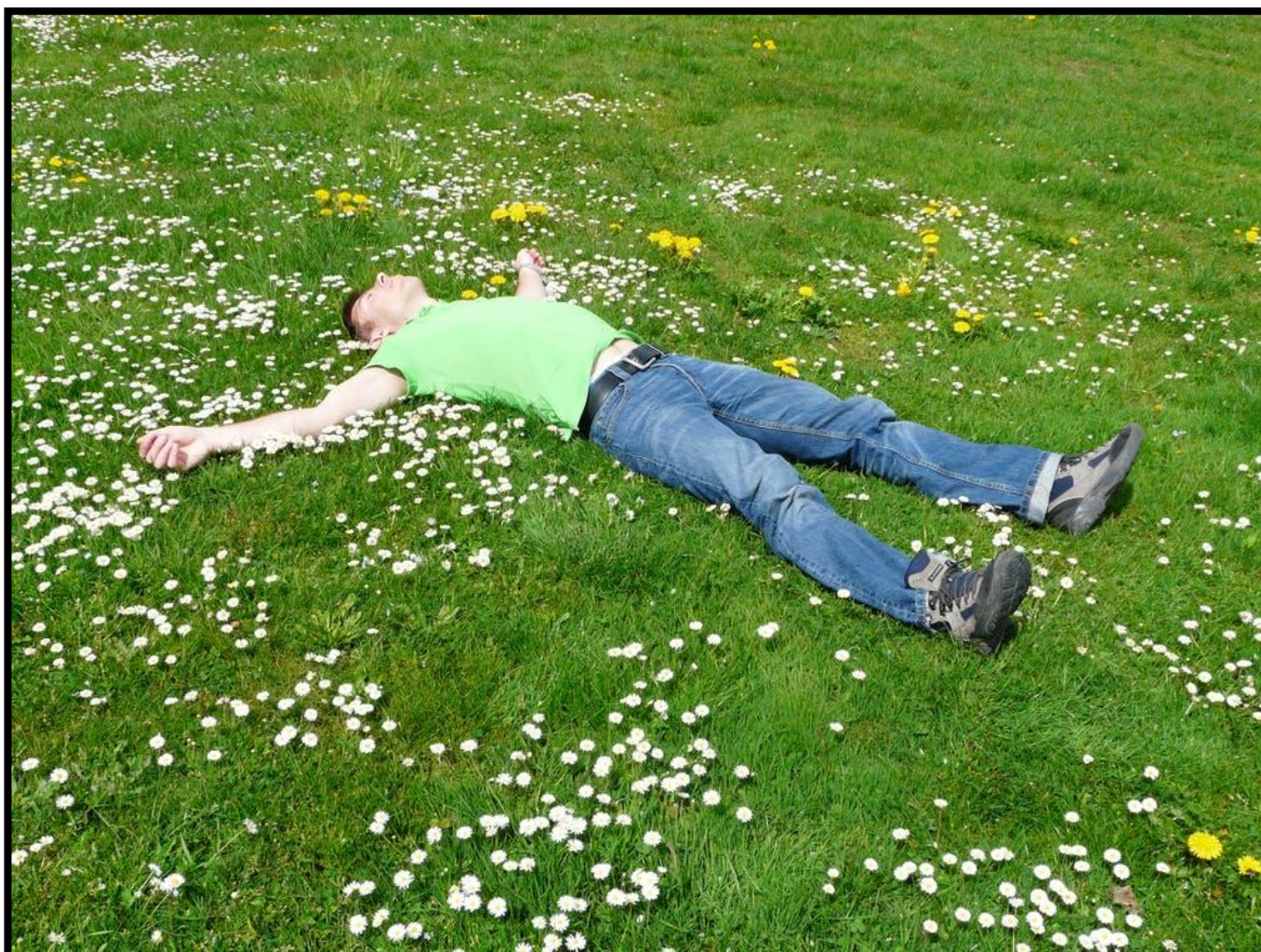
Moi nieświadomi niczego znajomi oczywiście biegną dalej. Próbuje więc szybko wydostać się z rowu, bo za mną może i nie za duży pies, ale zawsze pies i w dodatku jego właściciel. Wstałam więc szybko i w tym momencie zauważyłam, że zgubiłam jeden z moich butów. Co za paradoks – zamiast szukać, zaczęłam gubić. W tej całej panice zdjęłam i drugi z butów i wzięłam nogi za pas, biegnąc już boso.

Zdążyliśmy uciec, żeby nie powiedzieć, że w ostatnim momencie. Zmęczeni i zaskoczeni takim obrotem sprawy marzyliśmy tylko o powrocie do domu i postanowiliśmy spotkać się kolejnego dnia. Powiem tylko tyle, że mimo tej całej akcji niewątpliwie było warto. Nie zostawię po sobie tak znaczącego dla wielu śladu, bo żaden z moich kaloszy nie ma żadnej większej wartości, ani nie wiąże się z żadną z historycznych przygód, lecz na pewno ma dla mnie – choć sentymentalne, bo byłam tam, przeżyłam niesamowitą przygodę i choć już go nie znajduję to wiem, że było warto.

Eksploracja to nie tylko niesamowita pasja, to także przygoda, która daje dreszczyk emocji i ekscytację, niezapomniane wspomnienia na długie lata, ale także nauka, która budzi chęć poznawania i pamięć o tych, których już z nami nie ma.

Inga Liss

Moja tajna misja



Pewnie wszystko, co się wydarzyło było pochodną mojej wizyty w średniowiecznym miasteczku w Słowenii. Urodziwy gród nazywał się Celje, leży na trasie między Lublaną a Mariborem i okazało się, że ma coś wspólnego z Polską. Młoda księżniczka Bona, jadąc na swój ślub z polskim królem Zygmuntem Starym, stacjonowała w tym mieście kilka dni. Miasto, jak większość Słowenii, otoczone jest górami (Alpy Julijskie) i przecina je rzeka Savinja. Oglądając zabudowę miasta usłyszałem od rodowitej mieszkanki Celje, że na jednym z wzgórz przed laty była mennica, w której wybijano srebniki, kiedy przestała działać,

część dukatów znalazła się w rzece Savinji, ponoć setki lat później szczęśliwcy znajdowali w wodzie srebniki.

Bardzo zaintrygowała mnie ta opowieść, pomyślałem że bardzo chciałbym kiedyś znaleźć coś podobnego. Może nie od razu srebrne średniowieczne monety, ale orzelka z żołnierskiej czapki, może część uzbrojenia lub fragment pojazdu bojowego. Wiedziałem, że trudno będzie liczyć na łut szczęścia, wybrać się na spacer i coś znaleźć. Postanowiłem działać profesjonalnie. Zacząłem zgłębiać temat, czytać internetowe fora „poszukiwaczy skarbów”,

wreszcie zainteresowałem się zakupem profesjonalnego sprzętu. Okazało się, że pierwsze wykrywacze metali wykorzystano zimą 1941/42 roku do wykrywania min, że obecnie można kupić od amatorskich po profesjonalne detektory wysokiej klasy... ale używać wykrywaczy mogą nieliczni.

Inaczej rzecz ujmując, poszukiwanie ciekawych przedmiotów przy użyciu wykrywacza metali bez zezwolenia jest nielegalne. Poczekalem kilka dni, pokusa była jednak zbyt silna.

Po spędzeniu kolejnej nocy przed komputerem, po uzmysłowieniu sobie że to musi być fascynująca przygoda, po upewnieniu się że nic mnie nie powstrzyma nabyłem wykrywacz i udałem się na poszukiwanie. W bojowym nastroju, kierowany nieznaną siłą wylądowałem na łące nad Nidą, na niej przed setkami lat wybudowany był drewniany most, po którym według legendy swą bajeczną fortunę zamkniętą w skrzyniach przewoziła królowa Bona do zamku w Chęcinach, w którym mieszkała w roku 1554. Chciała majątek Korony wywieźć do Włoch. Według podań most nie wytrzymał ciężaru skrzyń i dużo królewskich kosztowności pochłonęła woda.

Od lat amatorzy mocnych wrażeń mają nadzieję na znalezienie choćby najmniejszego kamyczka z królewskiego pierścienia...na próżno.

Chodziłem z moim wykrywaczem po łące, oczywiście nic... cisza. Zrezygnowany skierowałem się w kierunku pobliskiego lasu. Nie uwierzycie! Usłyszałem ten dźwięk, nie zastanawiając się wiele zacząłem kopać. Z ziemi wydobyłem brzydką, małą, drewnianą skrzynkę. Na rogach miała skorodowane okucia i dosyć mocny zamek. Trudno było ocenić jej wiek, mogła mieć kilka lub kilkadziesiąt lat. Nie miałem czym jej otworzyć, postanowiłem wracać, zżerała mnie ciekawość, co jest w jej środku.

Po dotarciu do domu, i przyniesieniu z piwnicy odpowiednich narzędzi, z niecierpliwością otworzyłem wieko skrzyni... i się obudziłem.

Eksploracja historii, ze mną jako bohaterem nie była spektakularna jak eksploracja Marsa czy dotarcie do wraku Titanica w głębinach. Niemniej dołożyłem cegiełkę do pogłębienia tego terminu. Stałem się odkrywcą nowego gatunku eksploracji, nazwałem go „senna eksploracja historii”, ale z całą pewnością podobieństwo do osób i faktów w moim opowiadaniu nie było przypadkowe

Daniel Cieśla

Foto: Pexels



Badania na szczecińskim podzamczu



Przedwojenną maszynę do wytwarzania kiełbas, przedmioty codziennego użytku i dowód na istnienie średniowiecznego targu odkryli archeolodzy i muzealnicy podczas badań na szczecińskim podzamczu.

Badania prowadzono u podnóża wzgórza zamkowego, wzdłuż ulicy Panieńskiej. Teren ten przed drugą wojną światową zajmowały dwa kwartały kamienic, a do 2008 r. stał tam hotel Arkona.

"Śledziliśmy historię tego miejsca, każdej kamienicy. Odkryliśmy, że równoległa do Panieńskiej uliczka Targ Rybny była w średniowieczu dwa razy szersza niż jest obecnie.

Relikty murowane, które nam się udało odsłonić, wyznaczają pierzeję tej ulicy osiem metrów głębiej, niż jest obecnie. To potwierdza, że rzeczywiście istniał tam targ – a to nowe odkrycie, jeśli chodzi o Szczecin" – powiedział PAP w poniedziałek Sławomir Słowiński z Muzeum Narodowego w Szczecinie.

"Średniowieczne relikty murowane odkryliśmy jednak dopiero w niższych warstwach. Wielkim zaskoczeniem był fakt, że na poziomie piwnic nie ma pozostałości po zabudowie średniowiecznej, którą znajdowaliśmy w innych kwartałach" – dodał Słowiński. Jak wyjaśnił, to skutek zburzenia kamienic podczas oblężenia miasta przez Brandenburczyków w drugiej

połowie XVII w. Konieczne było postawienie kilku budynków na nowo. Także i one jednak nie przetrwały i w tym miejscu w XIX w. pojawiła się secesyjna kamienica.

Podczas prac prowadzonych w latach 2016-2017 odkryto też kilka belek z wewnętrznego oblicowania wczesnośredniowiecznego wału, który do początku XIII wieku wyznaczał granicę miasta.

W latach 1944-1945 teren u stóp Zamku Książąt Pomorskich został zniszczony w nalotach alianckich. Muzealnicy w pozostałościach kamienic przy ul. Panieńskiej znaleźli przedmioty codziennego użytku, przede wszystkim szklane butelki, niemal nie zniszczoną porcelanową zastawę stołową czy resor bryczki. Jednym z najbardziej zagadkowych elementów był szkielet metalowej maszyny odkryty w pozostałości jednej z piwnic.

"W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że maszyna służyła do ogrzewania wody w łaźni, mieszczącej się w wyłożonym płytkami ceramicznymi pomieszczeniu obok. Jednak zanim zdążyliśmy przejrzeć źródła historyczne, jeden ze szczecińskich kolekcjonerów podał nam na tacy gotową odpowiedź. Okazało się, że w tym miejscu, pod adresem Frauenstrasse 34 działał sklep mięsny, dokładniej Wurstfabrik

rodziny Freybe, założony w 1844 r." – powiedziała PAP Aleksandra Wilgocka z Muzeum Narodowego w Szczecinie. "Ta maszyna – o napędzie elektrycznym – służyła najprawdopodobniej do siekania większych części tuszy, które następnie były mielone w innych maszynach, w których wyrabiano kiełbasy" – dodała Wilgocka.

Fragment maszyny nie ma w ocenie muzealników dużej wartości. O jego losie zdecyduje właściciel terenu, firma Orbis. Na ponad tysiącu metrów kw. trwa teraz wymiana instalacji kanalizacyjnej pod nową zabudowę. Według wstępnych informacji, ma tam powstać m.in. hotel i budynki mieszkalne. Do 2008 roku przy ulicy Panieńskiej stał, wybudowany pod koniec lat 60. XX w., hotel Arkona. Wzniesiono go na fundamentach dwóch przedwojennych kamienic.(PAP)

PAP - Nauka w Polsce

autor: Elżbieta Bielecka

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels



Archeolodzy w Działdowie na starym mieście



W Działdowie (woj. warmińsko-mazurskie) ruszyły badania archeologiczne, które mają pomóc m.in. w odnalezieniu pozostałości średniowiecznych bram i murów miejskich. Wykonanie tych prac jest konieczne, aby rozpocząć rewitalizację starego miasta.

Jak powiedział PAP burmistrz Grzegorz Mrowiński, będą to jedne z największych badań archeologicznych w dziejach Działdowa. Podczas zaplanowanych do kwietnia prac zostanie wykonanych 20 wykopów sondażowych na terenie starego miasta.

Wyjaśnił, że prace mają pokazać, czy pod współczesną powierzchnią gruntu znajdują się

tzw. nawarstwienia kulturowe, czyli relikty przeszłości posiadające wartości historyczne i naukowe. "Myślę, że te badania naprawdę mogą wnieść wiele nowego do wiedzy o historii naszego miasta" - powiedział burmistrz.

Pierwsze dwa wykopy wykonywane są na pl. Mickiewicza. Jeden zlokalizowany jest w parku, przed wejściem do muzeum, gdzie istniała kiedyś kordegarda (wojskowa wartownia). Trwają też prace na parkingu, gdzie odkryto warstwy historycznego bruku i fundamenty najstarszego miejskiego browaru. Natrafiono również na elementy drewnianej kanalizacji, zabytkowe monety i elementy ceramiki.

W następnej kolejności archeolodzy mają ustalić przebieg murów obronnych miasta w czasach średniowiecza i odszukać pozostałości czterech bram miejskich - Polskiej, Niemieckiej, Końskiej i Kratowej. Zostanie też przebadana część terenu dawnego cmentarza przy Kościele pw. Podwyższenia Krzyża Św.

Przeprowadzenie badań archeologicznych zalecił warmińsko-mazurski konserwator zabytków w związku z planowaną przez władze Działdowa rewitalizacją starego miasta. Władze chcą przywrócić historyczny wygląd rynku z początku XX wieku i stworzyć tam atrakcyjne miejsca odpoczynku i integracji mieszkańców.

Samorząd liczy, że zdobędzie na ten cel blisko 2 mln zł unijnego dofinansowania. Działdowo jest jednym z pięciu miast, które ma otrzymać takie środki, jeśli pojawią się oszczędności w PAP - Nauka w Polsce

autor: Marcin Boguszewski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Ponadlokalnym Programie Rewitalizacji Sieci Miast CittaSlow.

CittaSlow to międzynarodowe stowarzyszenie miast dobrego i harmonijnego życia. Skupia miasteczka, które chcą stanowić alternatywę wobec powszechnej globalizacji i wielkomiejskiego pośpiechu. Mają przyciągać turystów swoim urokiem, zabytkami, nieśpiesznym tempem życia oraz regionalną kuchnią.(PAP)



Wernisaż 18.01.2018 - godz. 19

MOKOTOW/S-KA
GALLERY

Nowatorskie badania nt. koni w średniowieczu



Konie towarzyszą ludziom od tysięcy lat. Jaką rolę pełniły w życiu wczesnośredniowiecznego społeczeństwa na naszych terenach? Jak długo służyły, jak o nie dbano, i dlaczego niektóre były zjadane, a inne - starannie grzebane? W Toruniu ruszyły badania dot. obecności i wykorzystania koni nad Wisłą.

"Znaczenie zwierząt w średniowieczu badano najczęściej - tak jak i historię człowieka - głównie na podstawie zapisków historycznych - kronik, relacji z podróży, rejestrów - czy przedstawień ikonograficznych. Archeologia oferuje jednak inne źródło poznawcze. W przypadku zwierząt, w tym także konia, są to kości i zęby sztuk użytkowanych przez człowieka" - powiedział PAP archeolog i

inżynier zootechnik, dr hab. Daniel Makowiecki z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

"Naszym celem jest przedstawienie znaczenia koni w Polsce wczesnopiastowskiej i dzielnicowej. Punktem wyjścia do naszych badań są szczątki tego ssaka znajdowane podczas wykopalisk" - powiedział.



Na realizację projektu kierowana przez niego grupa badawcza otrzymała grant z Narodowego Centrum Nauki.

Naukowiec podkreślił, że podobnie jak jest dziś - także w czasach, których dotyczą badania, ten gatunek był w sensie społecznym elitarny i oznaczał prestiż dla ich posiadaczy.

Zaznaczył też, że wciąż jest wiele niewiadomych dotyczących dokładnego wyglądu koni w tym okresie: ich form (ras), wielkości czy umaszczenia. Nie wiemy do końca, jak długo służyły człowiekowi? Jak o nie dbano? I dlaczego niektóre konie były zjadane, a inne - starannie grzebane, czasami razem z właścicielem?

"Do rozważania tych problemów w okresie początków naszej państwowości informacje mogą być zaczerpnięte tylko z archeologii, a ściślej - z archeozoologii. Mamy ogólny pogląd na temat tego, jaka była rola konia w tamtych czasach, ale wiedza jest nadal fragmentaryczna i rozproszona. Konie nie były dotychczas traktowane w takich badaniach priorytetowo. Dotyczą ich najczęściej krótkie wzmianki w monografiach poświęconych wszystkim innym zwierzętom. Szczątki (koni - PAP) znajdowane były i są we wszystkich miejscach, gdzie niegdyś znajdowały się grody i osady. Znajduje się je również - co nie jest powszechnie wiadome - w miejscach sakralnych, rytualnych i ofiarnych. Odnajdujemy również groby koni. Tych na

Słowiańszczyźnie nie ma zbyt wiele, ale obecnie natrafia się na nie coraz częściej, w tym - w toniach jeziornych otaczających wyspy oraz na samych wyspach - stwierdził naukowiec.

Na czaszki końskie badacze natrafiają w okolicach dawnych budowli i wałów obronnych (ofiary zakładzinowe), a także wśród materiałów kostnych, będących odpadkami po spożytym

mięsie takich zwierząt, jak bydło, świnie, owce czy kozy.

"Szczątki konia w materiałach wykopaliskowych zawsze stanowią najmniejszy procent w grupie zwierząt domowych. Jeżeli gdzieś znajdują się ich groby - to są podstawy, aby sądzić, że zwierzęta te zostały docenione - pochowane, a nie zjedzone. Ten gatunek zainteresował mnie szczególnie, gdyż jest szereg pytań, na które nadal nie znalazłem odpowiedzi z powodu +nijakiego+ stanu badań" - opowiada prof. Makowiecki.

Mówiąc o kontekście swoich badań, naukowiec podkreśla znaczenie okresu, którego dotyczą - czasów rozbicia dzielnicowego. "Były to początki kształtowania się polskiej państwowości. Jednym z ważniejszych czynników pozwalających na jego powstanie były formacje zbrojne. Ważnym ich wyposażeniem był również oczywiście koń. Mnie interesuje, jaki to był koń: jak wyglądał, skąd pochodził, dlaczego w różnych częściach Słowiańszczyzny oraz w Polsce Piastów trzymano różne populacje" - dodał prof. Makowiecki.

Naukowiec poinformował, że ma już sporo materiału badawczego oraz pewną wiedzę pozwalającą formułować konkretne zagadnienia badawcze. Jedną z najważniejszych też wstępnych jest dobrze udokumentowane



zróznicowanie wielkości koni na ziemiach polskich, w zależności od regionu.

"Konie w Polsce rdzennej - Mieszka - są innej wielkości, niż na ziemi chełmińskiej, Pomorza Gdańskiego i Zachodniego, Dolnego Śląska czy Prus. Teraz trzeba określić, jakie miały umaszczenie, dlaczego i skąd się pojawiły. Na samym Ostrowie Lednickim - w kolebce państwowości - mamy dwie grupy koni. Mniejsze nadawały się bardziej do funkcji juczych, a większe do jezdnych. Konie wczesnośredniowieczne, tak czy inaczej, są bardzo małe, a przecież w tym okresie występują też bardzo małe konie dzikie (Prusy i Pomorze). Nowe techniki badawcze pozwalają szukać genezy tego zróznicowania. U innych gatunków w tym okresie nie mamy podobnego zróznicowania w wielkości ciała - te populacje są pod tym względem bardzo jednorodne" - dodał prof. Makowiecki.

Taki stan rzeczy wskazywałby, że konie docierały do ówczesnej Polski z bardzo różnych stron Europy, a być może i Azji.

"Nie chciałbym historii konia kończyć na tym granicy. Ten projekt jest pierwszym na świecie, ujmującym taką tematykę w ujęciu zwartym przestrzennie i czasowo, przy wykorzystaniu najnowszych zdobyczy technologicznych nauk ścisłych, m.in. biologii molekularnej - badań DNA czy izotopowych" - mówi naukowiec. (PAP)

PAP - Nauka w Polsce

autor: Tomasz Więclawski

edytor: Anna Ślżak

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Największy zbiór malowanej pradziejowej ceramiki przebadany



Największy odkryty zbiór malowanych pradziejowych naczyń ceramicznych w Polsce liczy ok. 300 egzemplarzy. Do ich wykonania używano m.in. koła garncarskiego i form; glina, z której powstały pochodzi z lokalnych wychodni - wynika z najnowszych analiz specjalistycznych.

Dekadę temu naukowcy z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN przebadali w Domasławiu pod Wrocławiem unikatowe cmentarzysko sprzed ok. 2,8 tys. lat. W obszernych grobach komorowych obok spopielenych szczątków zmarłych znajdowali pięknie zdobione naczynia ceramiczne. Naliczono ich ok. 300 - to

największy taki zbiór z terenu Polski i jeden z największych z obszaru Europy Środkowej - uważają odkrywcy.

"Malowane naczynia zdobią najczęściej motywy geometryczne w postaci trójkątów, linii falistych, okręgów z promieniami czy trykwetrów, czyli uproszczonych swastyk. W większości są to symbole, które należy wiązać z kultem bóstwa solarnego" - uważa kierownik wykopaliisk w Domasławiu, prof. Bogusław Gediga. Naukowiec koordynował również szeroko zakrojony projekt, polegający na kompleksowej analizie zbioru naczyń.

Naczynia malowane z podobnymi motywami pojawiły się w tym samym czasie - na początku I tysiąclecia p.n.e. - również w innych krajach Europy - głównie na terenie obecnych południowych Niemiec i Austrii, Czech, Moraw i Słowacji.

"Gdy dokonaliśmy odkrycia, byliśmy bardzo zaskoczeni. Motywy widoczne na naczyniach i inne odkryte zabytki wskazują, że ludność ta miała żywe kontakty z kulturą społeczeństw Basenu Morza Śródziemnego" - powiedział PAP prof. Gediga. Do tej pory uważano, że społeczność ta była odcięta od wpływów z tak odległych rejonów świata.

Naukowcy bardzo dokładnie przebadali naczynia. Zastosowali różnorodne metody stosowane m.in. w geologii czy chemii analitycznej. Udało im się ustalić (na podstawie analizy zastosowanej gliny), że wszystkie wykonano w rejonie dzisiejszego Domasławia. Z lokalnych źródeł pochodzą też zastosowane barwniki w postaci hematytu (tlenku żelaza), grafitu i węgla drzewnych. "Nie mamy jednak wątpliwości, że inspiracja związana z malowaniem i w dużej mierze także same namalowane motywy pochodziły z południowej Europy" - dodaje prof. Gediga.

Malowanych naczyń może być jednak zdecydowanie więcej. Naukowcy przeanalizowali powierzchnię fragmentów naczyń kilku bez widocznych obecnie śladów zdobienia za pomocą komparatora spektralnego (umożliwia obejrzenie próbki w różnych warunkach oświetlenia - od ultrafioletowego przez światło białe wzbogacone w promieniowanie podczerwone, jak również w monochromatycznym świetle punktowym). "Okazało się, że pierwotnie były zdobione podobnymi motywami, ale teraz nie są one widoczne gołym okiem" - mówi prof. Gediga. W jego ocenie metodę będzie można wykorzystać również w przypadku innych stanowisk archeologicznych. Polskie pradzieje mogą okazać się bardziej kolorowe niż do tej pory sądziliśmy - sugeruje profesor.



Zaskoczeniem dla badaczy był też sposób wykonywania naczyń. Jak mówi prof. Gediga, z analiz wynika, że powstawały albo na kole garncarskim (do tej pory uważano, że jego znajomość pojawiła się w tym rejonie kilkaset lat później wraz z przybyciem Celtów) lub były... wyciskane w formach wykonanych również z ceramiki. "Do drugiego wnioski doszliśmy po tym, jak po elektronicznej analizie naczyń okazało się, że wiele z naczyń ma nie tylko identyczne wymiary, ale nawet nosi takie same załamania na powierzchni" - opowiada archeolog.

Z analiz części naczyń wynika również, że umieszczono je w grobach wypełnione roślinnym pokarmem zapewne w postaci potrawek na ostatnią drogę.

Z wynikami specjalistycznych analiz naczyń ceramicznych z Domasławia można zapoznać się we właśnie opublikowanej książce "Świat kolorów garncarzy z rejonu Domasławia sprzed około 2800 lat", która ukazała się nakładem wydawnictwa Instytutu Archeologii i Etnologii PAN. Badania i publikację sfinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Książkę można bezpłatnie pobrać w formacie pdf [tutaj](#).

PAP - Nauka w Polsce

Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl

Odkrycie stożkowato wydłużonych czaszek w Iranie



Szczałki siedmiu osób ze stożkowato wydłużonymi czaszkami odkryli archeolodzy w czasie wykopalisk w zachodnim Iranie. Nie są to kosmici - takim zabiegom powszechnie poddawali się mieszkańcy Iranu niemal 10 tys. lat temu - wynika z analiz dr. hab. Arkadiusza Sołtysiaka.

Znaleziska dokonano na terenie pradziejowej osady (współczesne stanowisko Ali Kosz) położonej w zachodniej części Iranu, na przedpolu gór Zagros. Ludzie żyli w tym miejscu od 9500 do 8500 lat temu. W czasie zeszłorocznych wykopalisk irańscy archeolodzy natknęli się tam na liczne kości ludzi.

"Wszystkie zachowane czaszki były intencjonalnie zdeformowane - wyraźnie stożkowato wydłużone" - opowiada w rozmowie z PAP bioarcheolog z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. Arkadiusz Sołtysiak, który przebadął szczątki. Dodał, że celowa deformacja czaszek była zabiegiem bardzo rozpowszechnionym na obszarze dzisiejszego zachodniego Iranu w neolicie (czyli w czasach, w których funkcjonowała osada) i trwała kilka tysięcy lat - miejscami aż do epoki brązu.

"Trudno powiedzieć, dlaczego ówczesni ludzie zmieniali kształt głowy. Być może uważali, że

osoba z wydłużoną czaszką jest bardziej atrakcyjna, albo chcieli się odróżnić od innych grup" - przypuszcza naukowiec.

Wszystkie odkryte w zeszłym roku czaszki z Ali Kosh były intencjonalnie zdeformowane - temu zabiegowi poddawano zarówno kobiety, jak i mężczyzn.

"Aby zabieg deformacji był udany, należało rozpocząć go już we wczesnym dzieciństwie. Głowa była obwiązywana bandażem, który wymuszał wzrost czaszki tylko w jednym kierunku - w tym przypadku stożkowato do tyłu" - wyjaśnia bioarcheolog.

Naukowiec zapytany o konsekwencje zdrowotne takiego zabiegu wskazał na ewentualne problemy z szyjnym odcinkiem kręgosłupa - mógł być przeciążony z powodu zmiany punktu ciężkości głowy. Inne bowiem było ustawienie kłykci potylicy (wzrostków stawowych znajdujących się na potylicy i opartych na pierwszym kręgu kręgosłupa) i inna budowa

podstawy czaszki. Mózg jest elastyczny i dostosowuje się do kształtu czaszki, dlatego zmiana jego kształtu w takim zakresie nie powodowała raczej żadnych problemów z jego funkcjonowaniem - uważa badacz.

Wszystkie odkryte szczątki spoczywały pod polepą prostokątnego domostwa wzniesionego z cegły mułowej. "To nie jest odosobniony przypadek. W tym okresie na terenie Bliskiego Wschodu był to rozpowszechniony zwyczaj - tak było również na innych znanych stanowiskach archeologicznych z tego okresu - m.in. w Nemrik, Jerychu czy Catalhoyuk" - wylicza Sołtysiak.

Nietypowe było jednak ułożenie szczątków trzech zmarłych - były pochowane w pozycji kucznej - ich ręce i kolana znajdowały się blisko twarzy, a stopy i łokcie - obok miednicy. Naukowiec uważa, że zwłoki musiały być po śmierci skrępowane i w efekcie tak wymuszona



pozycja ciała nie zmieniła się podczas pochówku i podczas rozkładu ciała. "Na innych stanowiskach z tego okresu zmarli z reguły układani byli na boku lub nawet na wznak" - dodaje.

W przypadku szczątków trzech mężczyzn Sołtysiak dostrzegł nietypową zbieżność. Okazało się, że wszystkim brakowało tylko jednego zęba - prawego, górnego, pierwszego siekacza. "To raczej nie był przypadek" - uważa. Naukowiec sądzi, że mógł to być efekt rytuału przejścia, związanego zapewne z wejściem w okres dorosłości. Pozostałe zęby zmarłych z Ali Kosz nie miały ubytków i próchnicy, więc dieta tych wczesnych rolników była raczej uboga w fermentowalne cukry.

"Dotąd w tej części Bliskiego Wschodu nikt nie odnotował praktyki celowego wybijania zębów" - podkreśla naukowiec. Jednocześnie zaznacza, że może to wynikać ze stanu badań: siekacze często wypadają po śmierci i być może do tej pory nikt nie zwracał uwagi na zarośnięty wyrostek zębodołowy jednego zęba.

Sołtysiak badał kości będąc gościem Uniwersytetu Razi w Kermanszah. Jak wspomina - wszystkie znajdowały się w dużych

blokach bardzo twardej gliny wydobytych w czasie wykopalisk. "Mimo że nie brałem udziału w samych wykopaliskach, po oczyszczeniu wszystkich szczątków ludzkich miałem większe zakwasy niż podczas regularnych prac terenowych" - śmieje się. W tym zadaniu pomogli mu jednak miejscowi studenci archeologii.

Osada w Ali Kosz była szerzej badana w latach 60. XX w. przez amerykańską ekspedycję działającą pod kierunkiem Franka Hole'a i Kenta Flannery'ego. W zeszłym roku powrócili do niej irańscy archeolodzy pod kierunkiem Hodzata Darabiego z Zakładu Archeologii na Uniwersytecie Razi w mieście Kermanszah. Ich prace ograniczyły się jedynie do niewielkiego wykopu, którego podstawowym celem była weryfikacja stratygrafii stanowiska.

Wstępny raport z badań kości ludzkich z Ali Kosz został opublikowany w 11 tomie czasopisma „Bioarchaeology of the Near East” i jest dostępny na stronie www.anthropology.uw.edu.pl. (PAP)

PAP - Nauka w Polsce

autor: Szymon Zdziebłowski

Foto: Fotolia

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Książę - naga prawda o Włoszech epoki renesansu

Polski rycerz-wygnaniec staje się lojalnym podwładnym włoskiego księcia, zaangażowanego w XVI-wieczne gry wpływów i interesów. „Książę” Łukasza Czeszumskiego to powieść będąca próbą wskrzeszenia ducha renesansu i sposobu myślenia ludzi tamtych czasów. Nie tylko władców i dworzan, ale także kurtyzan, najemników, bogatych kupców, czy zwykłych bandytów.

Jesienią 2016 roku Łukasz Czeszumski – znany wcześniej głównie z reportaży z niebezpiecznych rejonów świata – zaskoczył czytelników utworem zupełnie innego gatunku. Tom pierwszy „Krwi wojowników” pt. „Uciekinier” spotkał się z bardzo pozytywnym przyjęciem – zarówno wśród tych, którzy oczekiwali przede wszystkim wartkiej akcji, jak i tych rozsmakowanych w wątkach historycznych. Powieść otrzymała wiele pozytywnych recenzji, a nawet zdobyła w swojej kategorii tytuł „Książki na wiosnę” w plebiscycie organizowanym przez portal Granice.pl.

Pojawiały się jednak wątpliwości, czy autor zdoła utrzymać zapowiadane tempo i w ciągu około roku przygotować tom drugi. Teraz już wiemy, że to się udało, a ciąg dalszy przygód polskiego rycerza Jarosława Burzyńskiego zyskał nawet większą objętość i jeszcze atrakcyjniejszą szatę graficzną niż tom pierwszy.

Polski rycerz wkracza na salony

Jest 1521 rok. Jarosław Burzyński przybywa do Italii. Szuka chwały, zarobku, ale i emocji. Najpierw wpada w ręce szwajcarskich najemników, którzy oskarżając go o szpiegostwo, wtrącają do lochu. Gdy wydostaje



się z niewoli, przybywa do Rzymu. Szybko jednak przekonuje się, że stolica Państwa Kościelnego nie ma zbyt wiele wspólnego ze świętością.

Po przeżyciu szaleństw rzymskiego karnawału bohater trafia do wojska, a po jednej ze

zwycięskich walk ratuje z opresji człowieka, który okazuje się księciem Dimarco. Znajomość z wysoko postawionym szlachcicem otwiera przed Burzyńskim zupełnie nowy świat. Wielka sztuka, wielkie zakulisowe rozgrywki, a między tym wszystkim wielu małych ludzi, z których każdy chciałby ugrać coś dla siebie, krwawe walki o władzę i wielopokoleniowe wendetty między włoskimi rodami. Intrygi nie omijają nawet szczytów władzy.

- Burzyński jest już innym człowiekiem. W poprzednim tomie był młodym, nieco naiwnym i szlachetnym rycerzem. We Włoszech, pod wpływem miejscowych obyczajów, staje się typowym cudzoziemskim kondotierem. Bardziej brutalnym, bezwzględny i sprytnym – mówi Łukasz Czeszumski. - Poprzez zmianę Burzyńskiego pokazuję, jak średniowiecze zmienia się w renesans. Po surowej epoce średniowiecza życie społeczne wyzwoliło się spod jarzma zakazów i nakazów, co miało swoje odzwierciedlenie także w powszechnej rozwiązłości, czy wielomiesięcznych karnawałach – dodaje autor.

Za kulisami renesansowych Włoch

Gdy autorytet moralny kościoła uległ degeneracji, zapanowała szalona wolność. Wyznacznikiem nie były już narzucone reguły, ale własne poczucie honoru i stylu. Pokazanie złożonej rzeczywistości renesansowych Włoch nie byłoby jednak możliwe, gdyby zilustrowana została tylko jedna warstwa społeczna. W „Księciu” odnajdziemy wątki z życia różnych środowisk – m.in. włoskich władców, kleru, kurtyzan, czy też wielkich najemnych armii (takich jak landsknechci, hiszpańskie tercje, czy pikinierzy szwajcarscy).

Choć istota fabuły powieści jest fikcyjna, została osadzona w autentycznych realiach historycznych, a wiele wydarzeń miało miejsce naprawdę. I tak, w drugim tomie „Krwi

wojowników” możemy śledzić zmagania Cesarza Karola z Królem Francji, którzy prowadzili między sobą wojnę o Włochy. Występują tu również autentyczne postacie kondotierów, dowódców, kardynałów. Dla miłośników historii nie lada gratką będzie z pewnością opis Bitwy pod Bicocą – pierwszej, w której broń palna zmasakrowała oddziały piesze.

Podczas wędrówki Jarosława Burzyńskiego, czytelnik odwiedzi wraz z bohaterem rozmaite krainy współczesnych Włoch – m.in. Wenecję, Księstwo Mediolanu, Królestwo Neapolu i Państwo Kościelne. Polski uciekinier poznaje zarówno dzikie góry Kalabrii, zapuszczone i brutalne obozy wojskowe, jak również ukryte sale do gier hazardowych, czy też luksusowe wnętrza watykańskie i komnaty pałaców.

- Wielu znanych konkwistadorów zaczynało swoją karierę właśnie tak jak bohater powieści – jako najemni żołnierze na wojnach włoskich. Tu uczyli się walki, nieustępliwości i ambicji, sztuczek służących zdobyciu i utrzymaniu władzy. Ale także okrucieństwa, bezwzględności i chciwości. Nie sposób zrozumieć umysłów konkwistadorów bez zrozumienia wojen włoskich – przekonuje autor „Krwi wojowników”.

Warto również wspomnieć o samym wydaniu. „Książę” to powieść licząca sobie 518 stron i dostępna wyłącznie w twardej oprawie. Znalazły się w niej graficzne strony tytułowe przed rozdziałami, a nawet mapa Włoch z epoki. Krótko mówiąc, książka została wydana w taki sposób, aby również jej forma sprawiła przyjemność koneserom dobrych powieści historycznych.

Książka jest dostępna na stronie internetowej autora (Czeszumski.com) oraz w wybranych księgarniach internetowych.

Odkrycie we wczesnośredniowiecznym domu



Jeden z największych zbiorów wczesnośredniowiecznych ziaren zbóż w Europie i największą znalezioną do tej pory kolekcję nasion roślin strączkowych pochodzącą z polskiego grodu z tego okresu, odkryli archeolodzy w Kłodnicy (woj. lubelskie).

"Zboża i nasiona znajdowały się w płytce piwniczce szalowanej drewnem. Umieszczono je w ciasno poupychanych naczyniach ceramicznych" - powiedział PAP kierownik wykopalisk, dr Łukasz Miechowicz z Instytutu Archeologii i Etnologii (IAE) PAN.

Budynek, w którym odkryto zboża i nasiona roślin strączkowych spłonął w 1. poł. XI w. - uważają archeolodzy. Oprócz dużych zapasów żywności znajdowała się w nim elitarna broń, bogaty, zdobiony złotem, srebrem oraz arabskimi monetami naszyjnik.

"Bogactwo odkryć wskazuje nam, że w badanym przez nas domostwie mieszkał lub przebywał ktoś znaczny, reprezentujący wyższe klasy społeczne" - dodał.

Wśród odnalezionych pozostałości roślin zidentyfikowano pszenicę zwyczajną, proso, bobik, groch i soczewicę.

Archeobotanik z PAN Muzeum Ziemi, Grzegorz Skrzyński oszacował, że jest to największy do tej pory odnaleziony depozyt pozostałości roślin strączkowych pochodzący z wczesnośredniowiecznego grodu z terenu Polski i jeden z największych wczesnośredniowiecznych zbiorów płodów rolnych znany z terenu Europy. Do tej pory naliczył już ponad 2 tys. nasion soczewicy, tyle samo bobiku i 1,5 tys. nasion grochu.

"Nie powiedzieliśmy jeszcze jednak ostatniego słowa - przed nami jeszcze ponad połowa próbek do przebadania" - zastrzega Skrzyński.

Na skutek pożaru domostwo zawaliło się; w konsekwencji naczynia ceramiczne, w których znajdowały się nasiona uległy roztrzaskaniu. "Kilka tysięcy fragmentów naczyń ceramicznych zamierzamy posklejać i zrekonstruować. W ten sposób dowiemy się, jak wyglądały" - dodaje dr Miechowicz.

tym okucie pasa z brązu. "Podobne pochodziły z terenu ówczesnych Węgier" - wskazuje dr Miechowicz. Pokażna jest też liczba znalezionej broni: kilkanaście grotów strzał, trzy groty włóczni w tym jeden potężny, prawie półmetry.

"Niezwykłym odkryciem okazał się również naszyjnik, który tworzyło przeszło 80 paciorków szklanych oraz dwie arabskie monety – dirhemy z początku X w. Część paciorków owinięta była złotą i srebrną folią. Monety posiadają otwory do podwieszenia. Jest to niezwykle rzadkie i cenne znalezisko" - uważa szef wykopalisk.

Pożar domostwa i całego grodziska, w którym się znajdowało, miał miejsce w poł. XI w. na co wskazuje datowanie radiowęglowe szczątków roślin.

"Wówczas teren Kotliny Chodelskiej znajdował się już w granicach państwa piastowskiego. Co było przyczyną pożaru? W tym momencie nie jesteśmy w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy było to przypadkowe zaproszenie czy może najazd" - opowiada archeolog.



Badacze natknęli się na nietypowe domostwo już dwa lata temu. W 2017 roku - kontynuowali wykopaliska w jego obrębie.

Badania archeologów z PAN w Kotlinie Chodelskiej można wesprzeć za pośrednictwem [tego serwisu](#).

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

*Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl.*

Foto: Pexels

W tym samym domostwie archeolodzy natknęli się na kilkadziesiąt zabytków metalowych, w

Polskie Towarzystwo Geograficzne obchodzi stulecie istnienia



Polskie Towarzystwo Geograficzne właśnie obchodzi stulecie działalności. Dawniej geografowie z PTG angażowali się w odbudowę państwowości polskiej, dziś opracowują plany rozwoju dla samorządów, dbają o ochronę środowiska, organizują olimpiady geograficzne i wycieczki.

Geografia fizyczna to zbiorcza nazwa dla wielu dyscyplin naukowych badających środowisko przyrodnicze, jako całość oraz jego poszczególne składniki. Drugi główny dział to geografia społeczno-ekonomiczna, zwana też geografą człowieka, bada bowiem konsekwencje

społeczne i gospodarcze naszej aktywności w przestrzeni geograficznej.

Polskie Towarzystwo Geograficzne skupia przedstawicieli wszystkich geograficznych subdyscyplin i specjalności. Współcześni geografowie opracowują strategie i plany rozwoju na wszystkich szczeblach administracji samorządowej.

Jak przypomina prof. Antoni Jackowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, PTG należy do najstarszych stowarzyszeń naukowych na ziemiach polskich. Zrzeszeni tu geografowie angażowali się w tworzenie niepodległego

Państwa Polskiego oraz odbudowę państwowości polskiej. Jednym z najbardziej znanych przedstawicieli tej nauki był lwowski profesor Eugeniusz Romer - twórca nowoczesnej kartografii polskiej, wiceprezydent Międzynarodowej Unii Geograficznej.

„Wśród założycieli byli nie tylko wybitni polscy uczeni, nauczyciele i społecznicy, ale także wielcy patrioci. Jednym z głównych celów organizacyjnych było zjednoczenie środowiska geografów podzielonego ponad wiekową niewolą związaną z rozbiorami i zaborami. Geografowie, zwłaszcza Eugeniusz Romer, odegrali główną rolę w procesie ustalania ostatecznego kształtu granic niepodległej Polski” - podkreśla prof. Jackowski.

Zaznacza, że w czasie II wojny światowej geografia znalazła się w grupie tych nauk, które Niemcy uznali za szczególnie niebezpieczne dla III Rzeszy. „Nic zatem dziwnego, że geografowie stanowili tę część polskiej inteligencji, przeciw której w pierwszej kolejności skierowała się nienawiść okupantów niemieckich. Podejmowano walkę z wrogiem niemieckim i sowieckim na polu walki, ale również na niwie naukowej, publikując różne opracowania w wydawnictwach konspiracyjnych, np. Armii Krajowej” - wylicza profesor.

W okresie powojennym PTG włączyło się w proces odbudowy zniszczonej Polski i zagospodarowania tzw. Ziemi Odzyskanych. Geografowie brali udział we wszystkich koncepcjach zagospodarowania przestrzennego kraju, znaczną część takich prac sami koordynowali. Uczestniczyli w: pracach nad zmianami podziału administracyjnego, prognozowaniu zmian społeczno-gospodarczych,

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

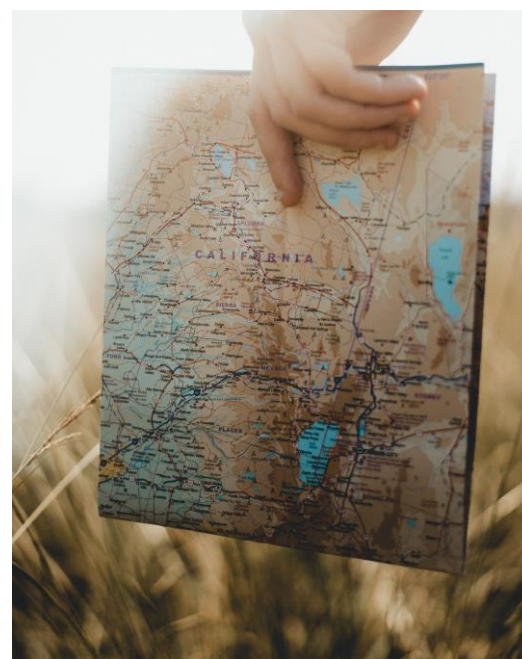
Foto: Pexels

planach ochrony środowiska i krajobrazu. Geografia polska cieszyła się uznaniem za granicą. Pomimo „żelaznej kurtyny”, naukowcy z sukcesem rozwijali współpracę międzynarodową, a Polska stała się miejscem spotkań geografów świata wschodniego i zachodniego.

Jubileuszowe spotkanie Polskiego Towarzystwa Geograficznego w Warszawie odbędzie się 27 stycznia 2018 r. W 2006 roku PTG zostało wpisane na listę organizacji pożytku publicznego. Jednym z podstawowych celów jego działania jest „kształtowanie społecznej świadomości geograficznej”. Służą temu organizowane wycieczki i działalność popularyzacyjna. Ważną rolę edukacyjną spełniają organizowane od 1974 roku Olimpiady Geograficzne dla uczniów szkół średnich. Polscy licealiści wielokrotnie zwyciężali indywidualnie i drużynowo w Międzynarodowych Olimpiadach Geograficznych.

W uznaniu dokonań przedstawicieli tej nauki na przestrzeni stu minionych lat Komitet Nauk Geograficznych PAN uznał rok 2018 Rokiem Polskiej Geografii. Z okazji 100-lecia Towarzystwa i 100-lecia geografii na Uniwersytecie Warszawskim w dniach 12-14 kwietnia zwołany zostanie w stolicy Kongres Polskiej Geografii. Z kolei w Krakowie w dniach 21-23 czerwca odbędzie się konferencja „Rola geografii w utrwalaniu niepodległości Polski i w Jej rozwoju”. Grudniowa konferencja „Geografia jako nauka aplikacyjna” zamknie jubileuszowe obchody w Warszawie.

PAP – Nauka w Polsce



Historia fajerwerków



Proch to nadal podstawowy składnik fajerwerków, których rozbłyski możemy podziwiać na Nowy Rok. Sztuczne ognie znane były już w średniowiecznych Chinach, ale dopiero od XIX w. ich skład umożliwia tworzenie wielobarwnych spektakli - powiedział PAP chemik z UW.

Za pomysłodawców sztucznych ogni uznaje się średniowiecznych Chińczyków. Być może do ich wynaleźenia doszło przypadkiem, gdy dalekowschodni alchemicy bezskutecznie poszukiwali eliksiru życia.

Jak wyjaśnił w rozmowie z PAP chemik z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego

Bartłomiej Fedorczyk, podstawowy skład fajerwerków niewiele zmieniał się od stuleci. Nadal najistotniejszym elementem mieszanki, która znajduje się wewnątrz korpusu rakiety, jest proch - czarny lub strzelniczy.

Fajerwerki składają się z dwóch podstawowych części - w pierwszej znajduje się silnie skompresowany proch w mocnym korpusie. W procesie jego spalania tworzą się duże ilości gazów, które uchodząc przez wąską dyszę wytwarzają siłę odrzutu i wnoszą raketę w powietrze.

W drugiej części mieszczą się natomiast ładunki, które mają bardzo zbliżoną mieszankę. Nie są one tak silnie obudowane, bo muszą rozerwać

rakiety i w konsekwencji uwolnić efekt świetlny. Tam, w centralnej części, znajduje się główny ładunek obudowany dookoła mniejszymi ładunkami w formie kulek - pirotechnicy określają je mianem "gwiazdek". W momencie eksplozji ładunku centralnego ulegają one zapłonowi i zostają rozrzucone w przestrzeń dookoła. W trakcie swojego lotu cały czas się tlą i formują wzór na niebie.



"Gwiazdki" mają w swoim składzie przede wszystkim proch lub mieszanki na bazie chloranów, ale z dodatkiem soli metali, które barwią płomień sztucznych ogni podczas ich spalania. I tak w momencie zapłonu sole strontu płoną w kolorze czerwonym, baru - zielonym, boru - jasnozielonym, miedzi - niebieskim. Białe i złote efekty uzyskuje się stosując pyły metaliczne. Pozostałe kolory uzyskuje się poprzez mieszanie powyższych substancji. Większość stosowanych do tego celu pierwiastków wyizolowano jednak dopiero dwa wieki temu.

"Szczególnie trudno osiągalnym jest kolor niebieski, który można uzyskać przy ściśle określonym przedziale temperatur. Dlatego, gdy

w trakcie pokazu dostrzeżemy tę barwę - śmiało możemy bić brawa organizatorom" - podkreśla Fedorczyk.

Aż do XIX w. pokazy sztucznych ogni były w zasadzie jednobarwne. Mieniły się jedynie różnymi odcieniami pomarańczowego - w ten bowiem sposób spala się węgiel, który jest podstawowym składnikiem prochu. Oprócz niego na proch składa się saletra potasowa (znana też w średniowiecznych Chinach), która jest utleniaczem. Jej zadaniem jest generowanie tlenu wewnątrz zamkniętego fajerwerku, bez niego nie byłoby dostatecznej ilości tlenu niezbędnej do potrzymania reakcji spalania.

"Kluczem do sukcesu jest odpowiednie zmielenie i zmieszanie wszystkich składników wchodzących w skład sztucznych ogni. Im bardziej dokładne - tym bardziej gwałtowna będzie reakcja w czasie spalania i uzyskamy spektakularne efekty wizualne" - podkreśla chemik. Aby to było możliwe, do mieszanki pirotechnicznej dodaje się spoiwa, m.in. dekstrynę. Często sporządza się roztwory ciekłe wszystkich składników, miesza a następnie suszy i rozdrabnia.

Duże pokazy sztucznych ogni powodują zanieczyszczenie powietrza, które odnotowywane jest przez stacje pomiarowe.

"Nie jest możliwe stworzenie fajerwerków, które nie powodowałyby zanieczyszczenia powietrza - taka jest bowiem ich natura - w wyniku spalania odrywają się różne cząstki, w tym szkodliwe dla zdrowia, które trafiają do atmosfery" - stwierdził. Chemik dodał, że projektując mieszanki wchodzące w skład fajerwerków celuje się raczej w ich jak najtańszy skład, a nie ewentualne właściwości ekologiczne.

"W trakcie eksplozji fajerwerków powstają tlenki siarki, azotu, węgla, które są uważane za substancje odpowiedzialne m.in. za efekt cieplarniany. Również ilość cząstek stałych



"Zapylenie szybko znika - większość cząstek jest bardzo duża, więc osadza się na powierzchni ziemi i znika z atmosfery. Porównując takie zanieczyszczenie do tego generowanego przez samochody czy palenie w piecach - jest śladowe z tego względu, że duże pokazy fajerwerków zdarzają się kilka razy do roku. Szkoda byłoby z takich spektakularnych eventów rezygnować" - powiedział.

autor: Szymon Zdziebłowski

zwiększa się - tak jest w przypadku pyłu PM_{2,5}" - opowiada chemik.

edytor: Anna Ślężak

Jednocześnie zastrzega, że zanieczyszczenia powodowane przez sztuczne ognie są krótkotrwałe i punktowe.

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

**panele
podłogowe**

z montażem **GRATIS**
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com

Monety Zygmunta II Augusta 1545 – 1572 cz.2



Grosz 1566, Tykocin, Kop. 3283, Kurp. 766, Sajau. 757/753



Grosz 1567, Wilno, Kop. 3286, Kurp. -, Sajau. -, nieopisany wariant legendy na awersie POLO MA DVX L, - *rzadki*



Grosz 1568, Wilno, Kop. 3287, Kurp. 774, Sajau. -, nieopisana odmiana interpunkcyjna



Półgrosz bez daty, Wilno, Kop. 3232 R8, Kurp. 756 R8, Gum. 608, T.60, *rzadki typ monety*



Półgrosz 1545, Wilno, Kop. 3235 R7, Sajau. 505 R5, T.30, *rzadki rocznik*



Półgrosz 1564, Wilno, Kop. -, Kurp. -, Sajau. -, *bardzo rzadka odmiana półgrosza z Orłem w koronie, jedyna drobna moneta Zygmunta Augusta z ukoronowanym Orłem.*



Półgrosz 1565, Wilno, Kop. 3272, Kurp. -, Sajau. -, odmiana bez Topora na rewersie z nieopisanym wariantem legendy L/LITVA, - *bardzo rzadki*



Szeląg 1551, Gdańsk, Kop. 7358, Kurp. 935, Gum. 641



Szeląg inflancki 1572, Dalholm, Kop. 3111, Kurp. 993, Gum. 636, na awersie legenda przedzielona na górze i dole gwiazdką



Dwudenaar 1566, Wilno, Kop. 3227, Kurp. 655, Sajau. 492



Dwudenaar 1567, Wilno, Kop. 3229, Kurp. 657, Sajau. 494



Dwudenaar 1569, Wilno, Kop. 3230, Kurp. 658, Sajau. 495



Dwudenar 1570, Wilno, Kop. 3231, Kurp. 659, Sajau 497



Denar 1551, Gdańsk, Kop. 7347 R6, Kurp. 922, Gum. 640, T.25, *bardzo rzadki rocznik*



Denar 1554, Gdańsk, Kop. 7350, Kurp. 925, Gum. 640



Denar 1555, Elbląg, Kop. 7099, Kurp. 989, Gum. 654



Denar 1557, Elbląg, Kop. 7101, Kurp. 991, Gum. 654

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl



NOWOŚĆ
MXSPORT



*Prawdopodobnie najlepszy
wykrywacz na rynku!*

Bitwa pod Iłżą



Starcie pod Iłżą było tylko jednym z wielu, jakie miały miejsce między Kielcami a Radomiem zimą 1864 roku, kiedy – dzięki działalności organizacyjnej Romualda Traugutta – udało się wznowić walki powstańcze. Dowodził w nim sześcioma kompaniami piechoty bardzo zdolny mjr Karol Kalita de Brenzenheim, ps. Rębajło. Jego oddział stanowił część II Korpusu gen. Józefa Hauke-Bosaka, mianowanego przez dyktatora powstania styczniowego, gen. Traugutta, naczelnikiem wojskowym województw krakowskiego i sandomierskiego. Bosak

był sprawnym organizatorem i energicznie realizował wytyczne Traugutta, próbującego przekształcić wojska powstańcze w armię podzieloną na korpusy, dywizje, pułki, bataliony, kompanie i szwadrony. Łącznie jego siły wynosiły w styczniu 1864 roku około 3–4 tysięcy ludzi.

Oddział Rębajły zatrzymał kolumnę płk. Suchonina, dysponującego dwiema rotami piechoty i oddziałem kozaków. Bitwę rozpoczęli Rosjanie, atakując od skrzydła trzy polskie kompanie, którym z pomocą

pospieszyły dwie kolejne; piąta wyszła na tyły Rosjan. Kiedy do bitwy miała wkroczyć ostatnia, szоста kompania, zamykając odwrót na Iłżę, Suchonin postanowił wycofać się do miasta, by stamtąd, pod osłoną zabudowań, dalej się bronić. O zmierzchu Kalita wycofał swój oddział, odchodząc ze zdobyczą 2 500 rubli i 100 karabinów i przy stratach pięciu zabitych i kilkunastu rannych (straty rosyjskie były dużo większe).

Warto więcej uwagi poświęcić samemu Kalicie, urodzonemu w 1830 roku w Galicji, doświadczonemu bojownikowi o wolność narodów. Jego kariera wojskowa zaczęła się po przymusowym wcieleniu do armii austriackiej, z której uwolnił się w czasie Wiosny Ludów, przechodząc na stronę walczących o wolność Węgrów. Pierwsze doświadczenie bojowe zdobył właśnie wtedy. W powstaniu styczniowym dowodził Pułkiem Stopnickim w składzie Dywizji Sandomierskiej w Korpusie gen. Hauke-Bosaka. Jego oddział nigdy nie został rozбитy. Do zwycięstw Rębajły zalicza się bitwy pod Mierzwiłem, Lubienią i Iłżą. Ze względu na zły stan zdrowia Kalita wycofał się następnie do

Turcji; po pewnym czasie powrócił do Galicji. Swoich ostatnich dni dożył we Lwowie – zmarł w 1920 roku i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim. Co ciekawe, zachowały się po nim aż dwie szable, jedna w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego – z klingą ozdobioną złotym wizerunkiem Tadeusza Kościuszki i napisami: W twoją dzielną, bitną dłoń, wdzięczni bracia dają broń. Bij jak dotąd mężnie wroga, za Ojczyznę w imię Boga oraz Dzielnemu Rębajle życzliwi rodacy 1864, natomiast druga w Muzeum Narodowym w Krakowie z napisem W Imię Boga Dobądź Szabli / A Moskali Wezmą Diabli / Od Przyjaciół Rębajle 1864.

ŁD

Fotografia: Pułkownik Karol Kalita de Brenzenheim, ps. Rębajło. Źródło: [Wikipedia](#), domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



**Wolnych ludzi
nic nie złamie!**

Ppłk Łukasz Ciepliński „Pług”

**9 lutego 2018 r. o godz. 17.45
Muzeum Armii Krajowej
im. gen. Emila Fieldorfa „Nila”
w Krakowie (ul. Wita Stwosza 12)**

Ernest Malinowski - budowniczy kolei transandyjskiej



200 lat temu, 5 stycznia 1818 r. w Sewerynach na Wołyniu urodził się Ernest Malinowski, projektant i budowniczy kolei transandyjskiej, jednej z najwyższej położonych na świecie, uznawanej za jedno ze szczytowych osiągnięć inżynierii XIX w.

Ernest Malinowski był trzecim dzieckiem w rodzinie szlacheckiej zamieszkałej w majątku ziemskim w Sewerynach na Wołyniu. Jego ojciec, Jakub Malinowski, był marszałkiem miejscowej szlachty. Otaczała go aura bohatera. Jako oficer brał udział w napoleońskiej wyprawie na Moskwę. Jeszcze przed jej rozpoczęciem prowadził na Wołyniu działania konspiracyjne, których celem było

przygotowanie tych ziem do wybuchu antyrosyjskiego powstania w momencie rozpoczęcia wojny Napoleona z Rosją.

Po powrocie z tragicznej wyprawy na Moskwę Jakub Malinowski zajmował się rodzinnym majątkiem ziemskim. To właśnie w nim urodził się jego syn – Adam Stanisław Hipolit Ernest Nepomucen Malinowski. W źródłach wymieniano wiele dat narodzin przyszłego inżyniera. Wątpliwości rozwiązało dopiero odkrycie jego akt personalnych z okresu studiów w paryskiej École Nationale des Ponts et Chaussées.

Ostoją kultury i polskiej oświaty na Wołyniu było stworzone przez Tadeusza Czackiego Liceum Krzemienieckie, które

Jakub Malinowski już od 1811 r. wspierał finansowo. Nieprzypadkowo więc jego synowie trafili w mury „Aten wołyńskich”. Ich edukację przerwał jednak wybuch Powstania Listopadowego. Jakub Malinowski zaangażował się w działalność Towarzystwa Patriotycznego Podolskiego, którego celem było przygotowanie lokalnego zrywu przeciwko Rosji. Był również posłem na sejm Królestwa Polskiego. W powstaniu wziął udział również Rudolf, starszy brat Ernesta Malinowskiego.

W maju 1832 r. rodzina Malinowskich, podobnie jak wiele innych rodów szlacheckich, została rozdzielona. Zaangażowany w powstanie Jakub Malinowski, Ernest i Rudolf wyjechali do Paryża. Ich matka pozostała w rodzinnym majątku. Również na emigracji Jakub Malinowski angażował się w działalność patriotyczną. Dbał o zapewnienie wykształcenia swoim synom. Naukę rozpoczętą w Krzemieńcu kontynuowali oni na wydziałach najbardziej prestiżowych francuskich szkół technicznych – École Polytechnique i École Nationale des Ponts et Chaussées. Tam zastępnili nie tylko znakomitymi wynikami w nauce, ale również wsparciem dla biedniejszych polskich studentów. Na ich utrzymanie przeznaczali przyznane im przez rząd francuski stypendia.

W 1839 r. Ernest i Rudolf zostali skierowani do niedawno podbitej przez Francję Algierii. Bracia odczuli to jako zesłanie, co szybko wpłynęło na konflikty z kierownictwem robót prowadzonych w porcie w Algierze. Ernest już po kilku miesiącach powrócił do Francji. Władze postrzegały go jako awanturnika i potencjalnie niebezpiecznego rewolucjonistę. Ostatecznie Ministerstwo Robót Publicznych skierowało go do prac przy budowie kanałów w departamencie Meuse, gdzie spędził kolejne osiem lat. W tym czasie nie angażował się zbyt aktywnie w działalność polityczną polskiej

emigracji. Sympatyzował z Hotelem Lambert księcia Adama Czartoryskiego. Zdaniem części biografów zamierzał wziąć udział w planowanym w 1848 r. powstaniu narodowym.

6 lipca 1850 r. zmarł Jakub Malinowski. Ernest został we Francji zupełnie sam, jego brat Rudolf przebywał nadal w Algierii. Osamotnienie i problemy z awansem na wyższe stanowiska prawdopodobnie wpłynęły na jego decyzję o wyjeździe do Peru. Bez wątpienia był już wówczas cenionym inżynierem. Świadczy o tym fakt, że wraz z nim za ocean wyjechali wybitni inżynierowie francuscy – Emil Chevalier i Charles Fraguette. Malinowski podpisał z rządem Peru sześćioletni kontrakt. Wraz z francuskimi kolegami pracował nad organizacją szkolnictwa technicznego oraz projektami infrastrukturalnymi, między innymi modernizacją miejscowej mennicy oraz poprawą stanu ulic najważniejszych miast młodego państwa. Wiedząc o rządowych planach budowy sieci kolejowej przedłużył wygasający kontrakt.

Kolej uznawana była w XIX w. za jedno z najważniejszych narzędzi postępu gospodarczego i społecznego. Wyobraźnię poruszały wielkie projekty kolejowe, takie jak przecinająca USA kolej transkontynentalna i kolej transsyberyjska. Względy gospodarcze nie były jedynym czynnikiem wpływającym na budowę tak potężnych systemów kolejowych. Ich celem było również spojenie państw, które obejmowały trudno dostępne, niemal bezludne terytoria.

Dla młodych państw budowa kolei była również okazją do pokazania ich możliwości i szansą awansu cywilizacyjnego. Tego rodzaju przedsięwzięcia przyciągały robotników i inżynierów z różnych stron świata. Nazwiska wielu z nich na trwałe weszły do galerii bohaterów narodowych tych państw. Już w 1864 r. Ernest Malinowski

zyskał sławę uczestnicząc w projektowaniu linii kolejowej z portu Chimbote do górskiej miejscowości Huaraz. Jej głównym celem miało być ożywienie przemysłu wydobywczego. Bezcenne dla późniejszej kariery Malinowskiego były doświadczenia jakie zdobył uczestnicząc w tych pracach.

Budowę dłuższych linii kolejowych pokrzyżowała w latach 60. XIX wieku wojna Peru i Chile z Hiszpanią. Wymuszony przez nią niekorzystny dla Peruwiańczyków traktat handlowy doprowadził do rewolucji i obalenia prezydenta. Nowy rząd wypowiedział wojnę Hiszpanii i powołał Malinowskiego na głównego inżyniera strategicznego portu Callao. Malinowski przedstawił szeroko zakrojony plan rozbudowy jego umocnień. Linie obrony oparto o baterie ciężkich dział oraz kamienne forty. Twierdzę zaopatrywać miała przedłużona do Limy linia kolejowa. Za sprawą talentów organizacyjnych Malinowskiego najpotężniejsze z dział ustawiono na swojej pozycji w ciągu zaledwie jednego dnia. Po zakończeniu prac Malinowski postanowił pozostać w mieście i wziąć udział w obronie przed atakiem hiszpańskiej floty.

25 kwietnia 1866 r. hiszpańskie okręty rozpoczęły trwający siedem dni ostrzał miasta. Spowodował on ogromne zniszczenia i śmierć około 2 tysięcy mieszkańców. Również Hiszpanie ponieśli ciężkie straty i wycofali swoje okręty. Obie strony uznały bitwę za swoje zwycięstwo. W obronie fortu Santa Rosa wziął udział Ernest Malinowski. Na pomniku w centrum Limy upamiętniającym obronę Callao przedstawiono Ernesta Malinowskiego przekazującego plany obrony miasta swojemu przyjacielowi, ministrowi obrony Peru. Za zasługi w wojnie z Hiszpanią uzyskał tytuł honorowego obywatela Peru.

Niemal od razu po zakończeniu konfliktu powrócono do planów budowy kolei. O połączeniu najbardziej odległych regionów Peru myślał już w latach dwudziestych bohater Ameryki Południowej Simon Bolivar. Na urzeczywistnienie tej wizji trzeba było jednak czekać ponad pół wieku. Projekt autorstwa Malinowskiego przewidywał połączenie Limy z bogatym w minerały regionem Cerro de Pasco. Stamtąd planowano przedłużenie linii aż do brazylijskiej Amazonii i do portów nad Atlantykiem. Tak wielki projekt zmieniałby sytuację gospodarczą ogromnej części Ameryki Południowej. Na przeszkodzie tym planom stały wielkie wyzwania techniczne, które zdaniem wielu przekraczały ówczesne możliwości inżynierów. Większość trasy miała przebiegać przez wąwozy o niemal pionowych ścianach. Malinowski zdecydował więc o wykuciu w nich półek skalnych mających pomieścić tory. Na całej liczącej 218 km trasie zamierzano wydrążyć 60 tuneli o łącznej długości 6 km, 30 mostów i wiaduktów. Jej najwyższy punkt miał znajdować się na wysokości 4784 m n.p.m. Warto podkreślić, że aż do 2006 r. była to najwyższej położona linia kolejowa na świecie. Tytuł ten odebrała jej dopiero kolej tybetańska przebiegająca na wysokości 5072 m n.p.m.

1 stycznia 1870 r. w Limie wmurowano kamień węgielny pod budowę linii. Początkowo prace przebiegały na dobrze zagospodarowanych terenach nizinnych i wyżynnych. Dopiero dotarcie w Andy sprawiło, że budowa stała się ogromnym wyzwaniem logistycznym i inżynierskim. Wszystkie materiały dostarczano na grzbietach zwierząt – lam i mułów, ramionach robotników, często wśród burz śnieżnych. Przy budowie pracowało w jednym momencie około 10 tysięcy robotników. Podobnie jak przy budowie kolei w USA wielu z nich przyjechało z Chin i Europy. Część stanowili zamieszkujący Andy Indianie. Ich

doświadczenie w budowie linowych kładek było niezastąpione podczas prac w andyjskich wąwozach. Na wszystkich czyhały niebezpieczeństwa – chłód, osuwiska skalne, nieudane eksplozje i choroby. Wśród tych ostatnich najgroźniejsza była przenoszona przez moskity bartoneloza, która objawiała się wysoką gorączką i wrzodami na całym ciele. Choroba pochłonęła około 7 tysięcy ofiar. Epidemię powstrzymało dopiero wynalezienie szczepionki. Jej twórcą był student medycyny z uniwersytetu w Limie – Daniel Alcides Carrión. Przypłacił swoje badania życiem, lecz do ostatnich chwil zapisywał obserwacje przebiegu choroby.

Sam Malinowski cały czas przebywał na placu budowy, dzieląc z robotnikami trudy. Realizacja dzieła jego życia została jednak przerwana w 1878 r. z powodu wybuchu wojny chilijsko-peruwiańskiej. Na kilka lat Malinowski wyjechał do Ekwadoru, gdzie pracował nad rozwojem tamtejszych, również położonych w górach, linii kolejowych oraz zabiegał o wsparcie opinii publicznej dla walczącego Peru. Do swojej drugiej ojczyzny powrócił w 1886 r. Kraj był zubożały, kolej transandyjska częściowo zniszczona. Ocalały jednak kluczowe mosty i wiadukty co pozwoliło na szybkie wznowienie prac. Budowę trasy zajęła się zdominowana przez Brytyjczyków firma Peruvian Corporation. Wreszcie w 1893 r. kolej została otwarta.

U schyłku życia Malinowski angażował się w wiele inicjatyw społecznych. Był jednym z założycieli wpływowej, elitarniej organizacji Club Nacional. W 1888 r. podpisał się na liście założycieli Socieda Geografica de Lima, którego zadaniem miało być prowadzenie badań naukowych w Ameryce Południowej. Dzięki staraniom członków tego stowarzyszenia otwarto

pierwsze w Peru obserwatorium astronomiczne oraz wytyczono dokładne granice Brazylii, Ekwadoru i Peru. Jako szanowany obywatel Peru pomagał innym polskim emigrantom, wśród których byli inżynierowie – Władysław Folkierski (powstaniec styczniowy), Ksawery Wakulski oraz geolog, badacz Andów, pionier paleontologii Józef Siemiradzki.

Ernest Malinowski zmarł 2 marca 1899 r. w swoim apartamencie w limskim hotelu Portal de Botoneros. Już następnego dnia został pochowany na cmentarzu Presbitero Maestro. Trumnę z jego ciałem nieśli studenci peruwiańskich szkół technicznych. O śmierci polskiego inżyniera informowała prasa na całym świecie. W setną rocznicę jego śmierci na przełęczy Ticlio – najwyższym punkcie kolei transandyjskiej - odsłonięto pomnik Ernesta Malinowskiego. Jego popiersie zdobi również pomnik Estacion Desamparados w Limie.

Jego zasługi podsumował w „Listach z Peru i Boliwii” inżynier i badacz kultur indiańskich Władysław Kluger: „Wzniesć się ciężkim pociągiem parowym na blisko 5000 metrów nad poziom morza w stosunkowo małej odległości, która oddziela Ocean Spokojny od szczytów Andów, przełamać naturalne przeszkody, napotykanne w konwulsyjnie utworzonych górach Kordylierskich, nie zważać na śnieg, pioruny i brak powietrza [...], oto zadanie równie trudne i zuchwałe, jak użyteczne i godne podziwu”.

Michał Szukała (PAP)

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl.

Iran

7,92x57 Mauser



Producent: brak danych



Producent: brak danych



Producent: Arsenal Krajowy, Teheran.

Historia latarki



Wykrywają zmrok, można z nich naładować telefon, powstają z materiałów ery kosmicznej. Takie są dzisiejsze latarki. Jednak mało brakowało, a wynalazek mógł nie ujrzeć... światła.

Droga do oświetleniowej rewolucji była długa – pokryta tłuszczem z lamp oliwnych, „pachnąca” łojem, ukryta za dymem z lamp naftowych. Historia latarki to opowieść w wielu aktach.

Światło dla elit

Na przestrzeni dziejów o oświetleniu przenośnym marzyli wszyscy, a mogli sobie na nie pozwolić tylko bogaci. Na „źródła zasilania” – oliwa, wosk na świece czy nafta – stać było

tylko elitę. Kamieniem milowym w rozwoju oświetlenia okazało się wynalezienie baterii i żarówki. – *Od tego momentu minęło 150 lat. Biorą pod uwagę długi marsz, jaki ludzkość pokonała do pierwszych źródeł światła przenośnego od znanych dziś latarek, zaliczyliśmy technologiczny sprint* – mówi Mirosław Pastor, specjalista w zakresie oświetlenia przenośnego w firmie Mactronic. A zaczęło się od spalania oliwy.



„Latarki” na oliwę

Pierwsi ludzie dążący do uzyskania przenośnego źródła światła (ognia) prawdopodobnie używali muszli lub skorup wypełnionych tłuszczem (roślinnym czy zwierzęcym) i czymś, co miało zastąpić knot (np. zwinięty liść). Dopiero doświadczenia Egiptu, Grecji i Rzymu przynoszą więcej informacji. Wówczas pojawiły się kamienne, gliniane czy miedziane lampy wypełniane oliwą oraz czarki z uchwyty do przenoszenia, zakończone charakterystycznym dziubkiem z miejscem na knot. Pojawiły się też pierwsze świece – prawdopodobnie mające początek w pochodniach pokrywanych pszczelim woskiem. U progu średniowiecza ludzkość korzystała z lamp oliwnych, świec i pochodni.

Prace nad zasilaniem

To oświetlenie nie uległo radykalnej zmianie przez kilkanaście wieków. Po drodze pojawiły się pewne udoskonalenia – tańsza świeca łożowa, lichtarze i świeczniki. Udało się też zwiększyć jasność płomienia lampy – nasycając knot paliwem przez umieszczenie ponad nim zbiorniczka z olejem. W kolejnych latach wynalazcy skupili się głównie na pracy nad „zasilaniem” – pojawiły się m.in. lampy gazowe, które na początku XIX wieku trafiły na

ulice Londynu i Paryża. Z kolei w 1853 roku Ignacy Łukasiewicz wydestylował naftę i skonstruował lampę umożliwiającą jej bezpieczne spalanie. Udoskonalany przez kolejnych naukowców wynalazek zagościł na stałe w domach europejskich mieszczan – lampę można było trzymać w ręce, ale trudno było sobie wyobrazić, by się z nią swobodnie przemieszczać poza domem.

Pierwsza „bateria”

Równoległe nad pracami dotyczącymi oświetlenia, toczyły się te dotyczące wykorzystaniem zjawiska elektryczności. Pierwsze ogniwo skonstruował Alessandro Volta, a w 1866 roku Francuz Georges Leclanche opatentował „Mokre Ogniwo”, uznawane dziś za pierwszą baterię. Po kolejnych 20 latach Niemiec Carl Gassner wynalazł ogniwo „suche”, podobne do znanych nam baterii „węglowo - cynkowych”. – *Obecnie jesteśmy świadkami kolejnych wielkich zmian w tym aspekcie. Zasłużone baterie są powoli wypierane w oświetleniu przenośnym przez akumulatory litowo-jonowe, głównie typu 18650, które pozwalają niektórym modelom świecić nawet przez kilka dni bez przerwy* – mówi Mirosław Pastor. Nowoczesne ogniwa mogą dziś być ładowane przez podłączenie do laptopa, a nawet służyć jako banki energii – wykorzystując port mini-USB lub specjalnie skonstruowane przenośne ładowarki.

Świat poznaje żarówkę

Co ze światłem? Trwała walka o wytworzenie odpornego żarnika i uzyskanie próżni (uniemożliwiającej utlenienie się materiału żarnika i jego przepalenie). Platyna, węgiel drzewny, włókna bambusa - wytrzymały zaledwie kilka minut. Dopiero pod koniec lat 70. XIX wieku pomyślnie zakończyły się próby Josepha Wilsona Swana z włóknem węglowym – rok później patent dopracowano w laboratorium Thomasa Alvy Edisona. 1 października 1879 rozbłysła pierwsza elektryczna żarówka – patent, który sprawił, że to z Edisonem, a nie z Nikołą Teslą, wielu z nas utożsamia rozwój elektryczności. I choć to koncepcja prądu zmiennego Serba, a nie prądu stałego Amerykanina, okazała się tańsza i efektywniejsza, to Edison i jego żarówka są dziś symbolami elektrycznej rewolucji. Od latarki ludzkość dzielił już krok. A dokładniej 19 lat.

Narodziny latarki

Rok 1898, Nowy Jork. Rosyjski imigrant Conrad Hubert, który wynalazł m.in. przenośny wiatraczek czy świecącą szpilkę do krawata, wraz ze swoim pomocnikiem Davidem Misellem pracują nad przenośną latarką. Ta ma postać papierowej rury z baterią, mosiężnym reflektorem, żarnikiem oraz włącznikiem. Z początku wynalazek nie spotkał się z większym zrozumieniem, a autorowi trudno było znaleźć kogoś, kto potraktowałby go z należytą powagą. O powodzeniu pierwszej latarki zdecydowała pewna wizyta na komisariacie w Nowym Jorku, skąd na początku 1899 policjanci ruszali na nocne patrole. - *Mimo upływu lat, latarki patrolowe jak Patrol Charger+ wciąż należą do podstawowego wyposażenia policji. To przede wszystkim modele niezwykle odporne,*

emitujące mocne, jednolite światło i charakteryzujące się długim czasem działania – mówi Mirosław Pastor z Mactronic. Kilka lat po prezentacji latarki, Conrad Hubert sprzedaje połowę udziałów swojej firmy za 200 000 dolarów. Szacuje się, że na początku lat 20. XX wieku z latarki korzystało już 10 milionów Amerykanów.

Technologiczny krok naprzód

Fakt, że oświetlenie przenośne cieszyło się dużą popularnością zarówno wśród służb mundurowych, (wojsko, policja, oddziały ratunkowe) jak i cywili (rosnąca popularność turystyki) sprawił, że postępowaly prace nad unowocześnieniem oświetlenia. Do laterek ręcznych dołączyły czołowe, montowane na broni czy dedykowane konkretnym rodzajom aktywności. Kamieniem milowym było wynalezienie pierwszej wodoodpornej latarki w 1970 roku. – *Najlepsi producenci oferują dziś latarki odporne na wilgoć, pył, czy błoto, co potwierdzają międzynarodowe certyfikaty jak ANSI. Dzięki temu użytkownik zyskuje pewność, że latarka z odpowiednim indeksem wodoodporności IP nie przestanie działać na deszczu czy po wpadnięci do wody* – mówi Mirosław Pastor.

LED-owa rewolucja

W drugiej połowie lat 90. XX wieku pojawiły się diody LED, które obecnie dominują w oświetleniu przenośnym. – *Wyposażone w nie latarki oferują jednolite i mocne światło, są przy tym wydajne i energooszczędne. Wsparte rozwiązaniami technologicznymi takimi jak wbudowany czujnik światła potrafią dopasowywać moc świecenia do panujących warunków* – mówi Mirosław Pastor z Mactronic. Energooszczędne, wyposażone w wydajne akumulatory litowo-jonowe i gniazda USB latarki potrafią dziś służyć nawet jako przenośny bank energii. Co czeka nas w oświetleniu przenośnym za kolejnych 20 lat? Przy obecnym tempie rozwoju technologicznego trudno to sobie wyobrazić. Jasne wydaje się być jedno – latarki będą miały się równie dobrze jak przed erą komputerów.



Mieczysław Pawlikowski - żołnierz i aktor

9 stycznia 1920 r. w Żytomierzu na Ukrainie urodził się Mieczysław Pawlikowski - aktor (niezapomniany Zagłoba w "Panu Wołodyjowskim"), a w czasie II wojny światowej sierżant bombardier RAF w polskich Dywizjonach 300 i 301.

Pawlikowskiego określa nie tylko jego słynna kreacja - jego życie już wcześniej napisało ciekawy scenariusz... Aktor tak wspomina w swojej książce *Siedmiu z Halifaxa "J"*:

"Był rok 1937. Wtedy po raz pierwszy oderwałem się na wysokość kilkudziesięciu centymetrów od ziemi. Szybowałem kilkanaście metrów. Było to przeżycie, którego nigdy już nie mogłem zapomnieć. W kłapie gimnazjalisty błękitniała odznaka pilota szybowcowego. Najpiękniejszy sport moich młodości lat. Sport, bo zawodem miało być aktorstwo. Właśnie w szkole średniej połączyłem dwa bakcyle: lotnictwa i teatru. Teatr stał się profesją, lotnictwo spełnieniem żołnierskiego obowiązku w czasie II wojny światowej".

W 1939 r. Pawlikowski przedostał się przez Słowację i Węgry do Francji. W bazie Lyon-Bron w listopadzie w 1939 r. z podobnych jemu ochotników stworzono 5. Eskadrę Ochotniczą. Ponieważ we Francji wystąpiły trudności w organizowaniu polskich jednostek lotniczych (spowodowane m.in. brakiem samolotów), wszyscy członkowie tej Eskadry w

kwietniu 1940 r. znaleźli się w Anglii. Tam, przed rozpoczęciem szkolenia bojowego, Pawlikowski został członkiem Lotniczej Czołówki Teatralnej. Przez parę miesięcy jeździł z przedstawieniami i jako aktor występował w obozach polskich wojsk w Anglii i Szkocji

Pawlikowski pracował też jako lektor i spiker polskich audycji radia BBC. Po ukończeniu kursu na bombardiera w 1943 roku został skierowany do dywizjonu 300, a później pełnił służbę w dywizjonie 301 (z uwagi na dość niski wzrost latał na stanowisku tylnego strzelca). Pierwszy lot bojowy odbył nad Essen. Łącznie wykonał 29 lotów bojowych nad terytorium Niemiec oraz krajów okupowanych, m.in. Polski i Francji, zrzucając broń, lekarstwa i cichociemnych. Podczas jednego z takich lotów jego samolot został zestrzelony. Za loty bojowe był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Krótko pracował dla Rządu Polskiego w Londynie. W sierpniu 1945 roku wrócił do Polski. W latach 1945-1947 występował w Miejskich Teatrach Dramatycznych w Warszawie, a w sezonie 1947/1948 był aktorem Teatru im. Żeromskiego w Kielcach. Od 1948 roku nie opuszczał stolicy, pracując w teatrach: Klasycznym, Powszechnym, Narodowym, Współczesnym, Nowym, Syrenie, Domu Wojska Polskiego oraz Ateneum. Jego najśłynniejsze role to Jakub w *Głupim Jakubie* Rittnera, rola tytułowa w *Świętoszku* Moliera i Stomil w *Tangu* Mrożka. W 1946 r. pracował jako spiker oraz prowadził własne słuchowisko w Polskim Radiu, a w latach 1958-1967

pracował w Redakcji Programów Rozrywkowych, grał także w Teatrze Telewizji. Brał, również udział w przedsięwzięciach estradowych - prowadził m.in. popularny "Podwieczorek przy mikrofonie".

W filmie Mieczysław Pawlikowski zadebiutował w 1950 r. rolą w *Warszawskiej premierze* Jana Rybkowskiego. Wystąpił w ponad trzydziestu filmach, jednak największą sławę przyniosła mu rola Jana Zagłoby w *Panu Wołodyjowskim* w reżyserii Jerzego Hoffmana i telewizyjnej, serialowej wersji - *Przygodach Pana Michała* (1969 r.) reżyserowanych przez Pawła Komorowskiego. Od 1977 aż do śmierci był aktorem Teatru Nowego. Zmarł w Warszawie 23 grudnia 1978 roku w wieku 58 lat. Jest pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Małgorzata Kowalczyk

Filmografia (wybór):

- *Warszawska premiera* (1950) - muzyk, przyjaciel Wolskiego
- *Gromada* (1951) - Jan Zieliński, młynarz
- *Inspekcja pana Anatola* (1959) - Apollo Godoć
- *Historia współczesna* (1960) - prezes spółdzielni, szef Basi
- *Spotkania w mroku* (*Begegnung im Zwielicht*) (1960) - Bauer
- *Milczące ślady* (1961) - porucznik Borakowski, kwatermistrz oddziału mjr. Zimnego
- *Gangsterzy i filantropi* (1962), cz. II - *Alkoholomierz* - Pieczarkiewicz, kierownik restauracji ()
- *Mansarda* (1963) - Franciszek Kostrzewski
- *Barbara i Jan* (serial telewizyjny) (1964) - Gawlikowski, redaktor naczelny "Echa"

- *Wyspa Złoczyńców* (1965) - właściciel czarnej limuzyny
- *Klub profesora Tutki* (serial telewizyjny) (1966-1968) - mecenas, rozmówca profesora
- *Klub szachistów* (1967) - Henryk Radek, prezes Klubu Szachistów
- *Szach i mat!* (1967) - ojciec Angeliki
- *Pan Wołodyjowski* (1969) - Zagłoba
- *Przygody pana Michała* (serial telewizyjny) (1969) - Zagłoba
- *Epilog norymberski* (1970) - Hermann Göring
- *Pejzaż z bohaterem* (1970) - dyrektor szkoły w miasteczku
- *Kocie ślady* (1971) - pułkownik MO
- *Nie lubię poniedziałku* (1971) - kucharz w telewizji
- *Roman i Magda* (1978) - ojciec Romana
- *Układ krążenia* (serial telewizyjny) (1978), odc. 7 - *Doktor Bognar* - doktor Marcel, przyjaciel Czarnobila
- *Skradziona kolekcja* (1979) - Jan Kowalski, filatelista

Odznaczenia i nagrody

- Krzyż Walecznych - dwukrotnie
- Złoty Krzyż Zasługi (1970)
- Medal 30-lecia Polski Ludowej (1974)
- Odznaka 1000-lecia Państwa Polskiego (1967)
- Odznaka "Za zasługi dla Warszawy" (1975)
- Nagroda Miasta Stołecznego Warszawy (1970)
- "Srebrna Maska" w plebiscycie "Expressu Wieczornego" na najpopularniejszych aktorów (1970)

Fotografia: Mieczysław Pawlikowski jako Telesfor w spektaklu Teatru Syrena *Dom otwarty* z 1961 r., [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Pierwszy polski znaczek pocztowy

W 1815 roku, po powołaniu do życia Królestwa Polskiego, utworzono jego pocztę. Instytucja ta kontynuowała zadania i tradycje gruntownie zreformowanej przez króla Stanisława Augusta Poniatońskiego poczty Rzeczypospolitej. Poczta Królestwa miała całkowitą autonomię.

Po klęsce Powstania Listopadowego władze carskie ograniczyły jej samodzielność. W 1851 roku poczta została podporządkowana Głównemu Zarządowi Pocztowemu Cesarstwa. Stopniowo

odzyskiwała jednak niezależność, czego wyrazem było wprowadzenie do obiegu 5 stycznia 1860 roku pierwszego polskiego znaczka pocztowego. Przedtem na ziemiach zaboru rosyjskiego posługiwano się jedynie znaczkami rosyjskimi. Po upadku Powstania Styczniowego Królestwo Polskie utraciło autonomię. Wydrukowane niedawno znaczki wycofano z obiegu pomiędzy 1 a 13 kwietnia 1865 roku.

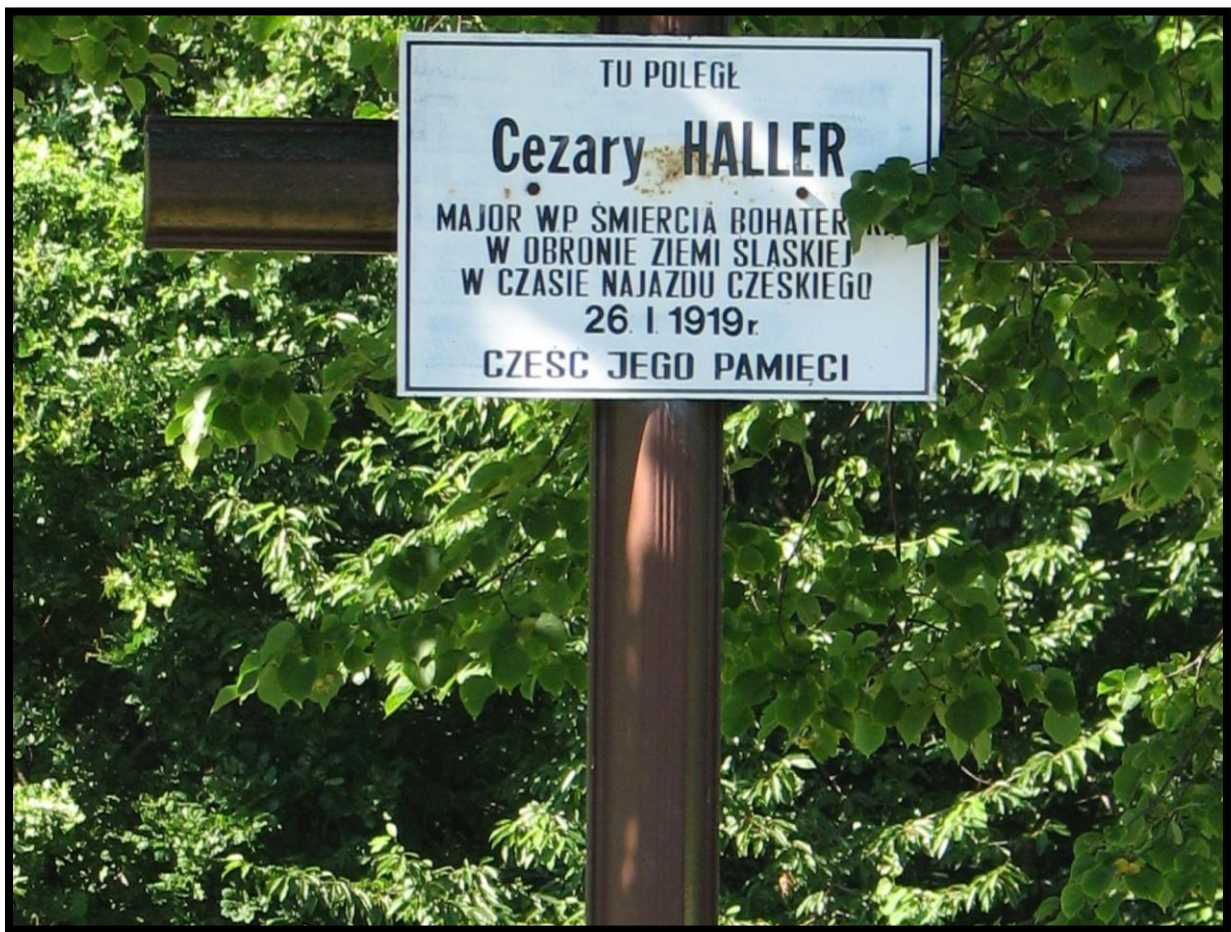


AU

Fotografia: pierwszy polski znaczek pocztowy, [Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Przekroczenie przez wojska czeskosłowackie linii demarkacyjnej



W połowie stycznia 1919 roku nowo powstałe państwo polskie toczyło ciężkie walki o swój kształt terytorialny. W Wielkopolsce trwało powstanie, a oddziały niemieckie przeszły do ofensywy, zadając powstańcom duże straty. Zacięte walki toczyły się także na Ukrainie. Na wschodzie z kolei rosło zagrożenie bolszewickie. Jediną bezpieczną granicą wydawała się granica południowa. 5 listopada 1918 roku Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego zawarła ze swym

czeskim odpowiednikiem porozumienie o podziale ziem. Nie zaakceptował go jednak rząd w Pradze.

23 stycznia 1919 roku wojska czeskie przekroczyły linię demarkacyjną na Śląsku Cieszyńskim. Oddziały polskie, mimo wzmocnień, cofnęły się pod naporem za linię Wisły. Dopiero w krwawej bitwie pod Skoczowem udało im się zatrzymać ofensywę. Tymczasem Czesi zajęli Orawę

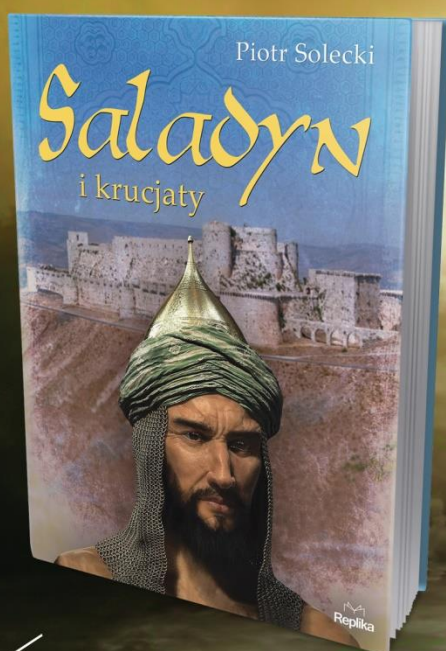
i Spisz. Mocarstwom udało się doprowadzić do rozejmu, który parafowano 3 lutego. Na spornych terenach miał się odbyć plebiscyt rozstrzygający o przynależności państwowej tych ziem. Jednak w trakcie ofensywy bolszewickiej Polska zrezygnowała z głosowania i zgodziła się, aby to mocarstwa zakończyły spór. Rozwiązanie okazało się wielce niekorzystne dla rządu w Warszawie i pozostawiło po stronie czeskiej większość zagarniętego terytorium.

AU

Fotografia: krzyż upamiętniający śmierć posła na sejm w Wiedniu, działacza polskiego majora Cezarego Hallera w trakcie walk z armią czechosłowacką w Kończycach Małych, Wikimedia Commons, domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Romuald Traugutt - dyktator powstania styczniowego



Romuald Traugutt urodził się 16 stycznia 1826 roku w Szostakowie, wsi położonej w powiecie brzeskim guberni grodzieńskiej, w rodzinie Ludwika i Alojzy z Błockich.

W latach 1836–1842 uczył się w gimnazjum w Swisłoczy. Po jego ukończeniu próbował dostać się do Instytutu Inżynierów Dróg Komunikacyjnych w Petersburgu, ponieważ jednak nie udało mu się

zrealizować tych planów, w 1844 roku zdał egzamin na junkra saperów i rozpoczął służbę wojskową. W ramach służby brał udział w kampanii rosyjskiej przeciwko powstańcom na Węgrzech oraz w wojnie krymskiej. Następnie, w latach 1859–1860, pełnił służbę w Petersburgu, gdzie prawdopodobnie miał styczność z polskim kółkiem wojskowym Zygmunta Sierakowskiego i Jarosława Dąbrowskiego. Powstanie zastało

Traugutta w jego niewielkim majątku Ostrów koło Kobrynia na Polesiu; był już wtedy od roku w stanie spoczynku, zakończywszy służbę w stopniu podpułkownika.

Traugutt przystąpił do powstania dopiero na wiosnę 1863 r., obejmując dowództwo nad oddziałem walczącym w powiatach kobryńskim i pińskim. W czasie śledztwa przeprowadzonego w 1864 roku w Cytadeli warszawskiej swoje przystąpienie do powstania tłumaczył słowami: „Okazało się, że odwołać [powstania] nie było już czasu. Zgodziłem się wtedy na prośbę, bo jako Polak osądziłem za mą powinność nie oszczędzania siebie tam, gdzie inni wszystko poświęcali”. W maju 1863 roku Traugutt poprowadził do walki oddział powstańczy na Polesiu. W czasie dwóch miesięcy stoczył siedem potyczek, z których część zakończyła się zwycięstwem. W lipcu pojechał do Warszawy po rozkazy od Rządu Narodowego; tam mianowano go generałem i pełnomocnikiem wojskowym na Galicję Wschodnią i Zachodnią. Po otrzymaniu instrukcji udał się w podróż do Krakowa, Lwowa, Wiednia i Paryża, gdzie odbył rozmowę z przedstawicielami rządu francuskiego oraz Władysławem Czarotoryskim.

We wrześniu 1863 roku kierownictwo w rządzie objęli czerwoni, którzy ponownie zamierzali oddać władzę wojskową nieudolnemu gen. Ludwikowi Mierosławskiemu. Zbiegło się to z powrotem z Francji do Krakowa Traugutta, który został postawiony w niejasnej sytuacji, gdyż nie wiadomo było, czy jego pełnomocnictwa wojskowe były jeszcze aktualne. Traugutt postanowił zignorować zmiany w Warszawie, zwołując do

Krakowa naradę kilku dowódców powstańczych, przed którymi nakreślił plan wznowienia walk. Po uzyskaniu poparcia zebranych zdecydował się przekazać swoje pełnomocnictwa dotyczące Galicji gen. Edmundowi Różyckiemu, tym samym wykluczając dalszy udział Mierosławskiego.

17 października 1863 roku Traugutt wziął udział w posiedzeniu rządu. Jego członków zdymisjonował; jak pisał w swych wspomnieniach sekretarz stanu Janowski, oświadczył „iż od tej chwili mogą zupełnie swobodnie rozporządzać swymi osobami”. Traugutt nie używał wobec siebie określenia dyktator, lecz faktycznie to on stanął na czele powstania. Podjęte przez niego reformy, w tym próba przekształcenia oddziałów powstańczych w armię, przyczyniła się do krótkiego zintensyfikowania walk powstańczych.

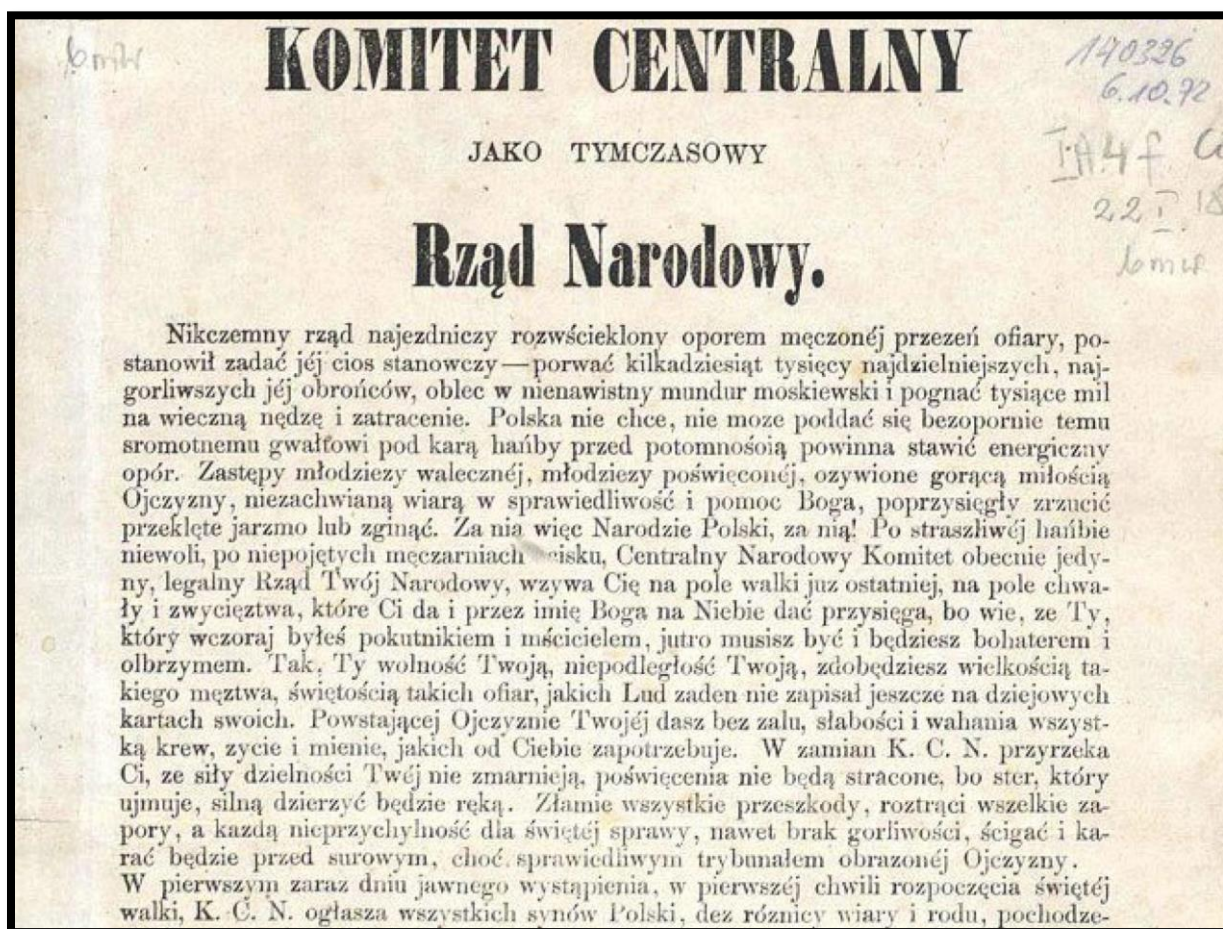
Mimo wysokiego zakonspirowania i przyjęcia fałszywej tożsamości Michała Czarneckiego, po wydaniu go przez Artura Goldmana, w kwietniu 1864 roku został aresztowany i skazany na karę śmierci przez powieszenie. Karę wykonano 5 sierpnia 1864 roku na stokach Cytadeli warszawskiej, w obecności trzydziestotysięcznego tłumu mieszkańców Warszawy.

Ł.D.

Fotografia: portret Romualda Traugutta z 1862 r., [Biblioteka Publiczna Miasta Stołecznego Warszawy](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Wybuch powstania styczniowego



Odwilż posewastopolska przyniosła odprężenie również w Królestwie Polskim. Nowy car Aleksander II chciał zreformować Cesarstwo, za cenę spokoju gotowy był do ustępstw. W Królestwie ożywiły się procesy polityczne i gospodarcze. Działania podjęli także konspiratorzy. W czerwcu 1860 roku, po śmierci wdowy po gen. Józefie Sowińskim, odbyły się pierwsze manifestacje patriotyczne. Kolejne towarzyszyły

ważnym rocznicom, m.in. wybuchu powstania listopadowego oraz bitwy o Olszynkę Grochowską. 27 lutego 1861 roku padły pierwsze strzały w kierunku manifestantów. Mimo tego Rosjanie nie porzucili idei reform. Wykonawcą ich polityki stał się margrabia Aleksander Wielopolski. Z jego inicjatywy przeprowadzono m.in. repolonizację administracji. Nie uspokoiło to jednak sytuacji.

8 kwietnia 1861 roku na warszawskim placu Zamkowym wojsko zastrzeliło około stu manifestantów. Z kolei 15 października, w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, żołnierze wtargnęli do kościołów podczas mszy i aresztowali wielu ich uczestników. W odpowiedzi księża zamknęli warszawskie świątynie. Wielopolski podał się do dymisji. Ruch konspiracyjny podzielił się na dwa ugrupowania - "białych" i "czerwonych". Oba dążyły do niepodległości, ale różniły się w doborze środków. "Biali" preferowali działania ewolucyjne, "czerwoni" - powstanie. Wobec rosnącego napięcia w czerwcu 1862 roku car mianował Wielopolskiego naczelnikiem rządu cywilnego. Margrabia kontynuował rozpoczęte reformy. Nie zadowolili one jednak konspiratorów, a zwłaszcza "czerwonych", którzy we współpracy z rosyjskimi spiskowcami przygotowywali

powstanie. Wielopolski, zdając sobie sprawę z sytuacji, zarządził brankę do wojska, która miała uderzyć w członków przysiężenia. Wobec takiego obrotu spraw spiskowcy przyspieszyli termin wybuchu powstania. W nocy z 14 na 15 stycznia 1863 roku rosyjscy oficerowie nie zastali w domach większości rekrutów. 22 stycznia wybuchło powstanie.

AU

Ilustracja: odezwa Komitetu Centralnego Narodowego działającego jako Rząd Tymczasowy z 22 stycznia 1863 r., [Polona](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

TREASUREmaster

white's
QUALITY SINCE 1950

TREASUREpro

Profesjonalne wykrywacze od 1950

MADE IN U.S.A.

Znakomita jakość w Twoim zasięgu!

Zamach stanu gen. Januszajtisa



Z dr. Błażem Pobożym
rozmawia Adam Tycner

Jak wyglądała sytuacja polityczna w Polsce na przełomie lat 1918/1919?

Sytuacja polityczna Polski wkrótce po odrodzeniu się niepodległego Państwa była bardzo skomplikowana. W Warszawie od 14 listopada faktycznie, a od 22 listopada formalnie pełnię władzy politycznej sprawował Naczelny Dowódca, a później

Tymczasowy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. W istocie, na mocy dekretu o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej posiadał on uprawnienia niemal dyktatorskie, w tym przede wszystkim wyłączne prawo powoływania i odwoływania politycznie przed nim odpowiedzialnych Prezydenta Ministrów, czyli premiera, oraz ministrów.

Z poparciem Piłsudskiego od listopada 1918 roku funkcję szefa rządu pełnił Jędrzej Moraczewski. Zapleczem

politycznym tego gabinetu były siły centrolewicowe. Poza układem rządzącym pozostawali narodowi demokraci, którzy ciągle wierzyli w możliwość uznania przez społeczność międzynarodową za jedyny rząd polski działającego w Paryżu Komitetu Narodowego, a następnie przerwienie do kraju jego przywódców, na czele z Romanem Dmowskim. Z upływem kolejnych tygodni, mimo narastającego wrzenia w przyjaznej prawicy Wielkopolsce, taka koncepcja stawała się coraz mniej realna przede wszystkim ze względów logistycznych.

Dlaczego logistycznych?

Aby możliwe było choćby częściowe przejście odpowiedzialności za państwo, narodowi demokraci musieliby dysponować jakimś silnym argumentem wobec Tymczasowego Naczelnika Państwa, który mógłby zwyczajnie nie chcieć "podziału swojej władzy". Takim argumentem bez wątplenia mogła być Błękitna Armia gen. Józefa Hallera, którą jeszcze w październiku planowano przerzucić na ziemie polskie, a której obecność w momencie odzyskiwania niepodległości znacznie wzmocniłaby pozycję prawicy. Przemieszczenie armii przez pół Europy to jednak bardzo kosztowne wyzwanie logistyczne. O ile jeszcze w październiku operację taką, jako pośrednio wymierzoną w Niemcy, gotowi byli sfinansować Francuzi, o tyle po 11 listopada i podpisaniu rozejmu w Compiègne nie byli już do tego pomysłu pozytywnie nastawieni. Bez armii Hallera natomiast powrót Dmowskiego i próba przejścia lub choćby współuczestniczenia we władzy narodowych demokratów była całkowicie nierealna.

A zatem jedyną szansą prawicy na przejście władzy mógł być zamach stanu i zbrojne obalenie rządu i Naczelnika? Czy tak właśnie należy patrzeć na wydarzenia w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku?

I tak, i nie. Wielu badaczy na te wydarzenia patrzy właśnie tak. Przypomnijmy tylko, że w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku grupa wojskowych pod dowództwem gen. Mariana Januszajtisa uwięziła premiera Moraczewskiego oraz ministrów Stanisława Thugutta i Leona Wasilewskiego. Pod względem politycznym zamach koordynował konserwatysta książę Eustachy Sapieha. Po chwilowym sukcesie szybko przyszła porażka, która ostatecznie przyczyniła się do upadku całej inicjatywy. Niepowodzeniem zakończyła się bowiem próba opanowania armii, czemu skutecznie zapobiegł szef sztabu generalnego gen. Stanisław Szeptycki. Po odparciu zamachowców po kilku godzinach udało się odbić uwięzionych członków rządu.

Warto zaznaczyć, że cele zamachowców nie były całkiem sprecyzowane. Uznaje się, iż zamierzali oni przejąć kontrolę nad Warszawą i przygotować grunt do triumfalnego powrotu do stolicy Romana Dmowskiego, który stanąłby na czele rządu. Do tego czasu funkcję tę miałyby sprawować Eustachy Sapieha. Analogicznie nowym wodzem naczelnym planowano uczynić gen. Józefa Hallera, którego tymczasowo zastępowałby Januszajtis.

Według jednej z alternatywnych teorii zamachu miałby być on inspirowany przez samego Józefa Piłsudskiego. Czy takie podejście ma szanse obrony?

Mnie osobiście taka koncepcja jest bliższa. Według niej nie należy wykluczać, że to właśnie Naczelnik Państwa co najmniej zainspirował zamachowców, a przywódcy Komitetu Narodowego Polskiego nie mieli z całą awanturą nic wspólnego. Gdyby rzeczywiście za całą sprawą stali narodowi demokraci, swój atak skierowaliby raczej przeciw Piłsudskiemu. Tymczasem zamach dotknął praktycznie tylko premiera Moraczewskiego i kilku ministrów jego rządu. Ponadto, gdyby rzeczywiście

Dmowski planował zbrojne przejęcie władzy, nie wysyłałby do stolicy dwa tygodnie wcześniej Stanisława Grabskiego, który wynegocjował porozumienie z Piłsudskim. Na mocy tego porozumienia Naczelnik Państwa przekazał KNP mandat do reprezentowania narodu polskiego wobec państw koalicji na zbliżającej się konferencji pokojowej. Był to ogromny sukces endeków i nie sądzę, aby już w dwa tygodnie później zamierzali doprowadzić do starcia z obozem belwederskim. Jeśli już nawet do tego zmierzali, to raczej nie poprzez bliżej nieznanych awanturników, a osobę jednego z przywódców szeroko rozumianej prawicy.

W pewnym sensie z takim właśnie działaniem mieliśmy do czynienia 2 stycznia, kiedy to do Warszawy *via* Paryż i Poznań przyjechał Ignacy Jan Paderewski. Oficjalnie deklarował on chęć doprowadzenia do pojednania narodowego, nieoficjalnie wspominał jednak o "zatrzymaniu Piłsudskiego na drodze do bolszewizmu". Jego triumfalny przyjazd do stolicy musiał zmartwić Tymczasowego Naczelnika, tym bardziej że nazajutrz, 3 stycznia 1919 roku, w ogarniętej powstaniem Wielkopolsce Naczelną Radą Ludową ogłoszono projekt utworzenia Naczelnej Rady Narodu Polskiego, która miałaby się zebrać w Warszawie i powołać do życia koalicyjny gabinet, co *de facto* oznaczało zakwestionowanie pozycji Naczelnika.

Podsumowując, z punktu widzenia Piłsudskiego sytuacja wyglądała następująco: do Warszawy przyjechał niezwykle popularny Paderewski, stanowiący bezpośrednie zagrożenie dla pozycji Naczelnika. Na czele rządu stał z kolei mało popularny już wówczas Jędrzej Moraczewski, zaciekle atakowany przez całą prawą stronę sceny politycznej, a i przez Piłsudskiego już raczej tylko tolerowany niż jednoznacznie wspierany. Do tego zbliżały się wybory do Sejmu Ustawodawczego, które według prognoz

miała wygrać sprawująca władzę lewica, co z kolei mogło wywołać dalszą polaryzację na scenie politycznej, a kto wie, czy nie wojnę domową między Poznaniem a Warszawą.

Dla Piłsudskiego zamach był więc idealnym, a przy tym bardzo szybkim rozwiązaniem wszystkich problemów. Dzięki niemu zyskał idealny pretekst do zdymisjonowania niepopularnego rządu Moraczewskiego, wzmacniając swoją pozycję w hierarchii władz. Jednocześnie podporządkował sobie głównego politycznego przeciwnika - Paderewskiego, powierzając mu trudną funkcję prezydenta ministrów. Funkcji tej nie mógł przecież nie przyjąć, a przyjęcie jej z rąk Naczelnika oznaczało uznanie jego zwierzchności i legalności. Wreszcie ostatni aspekt - wybory. Objęcie rządów przez prawicę na dziesięć dni przed wyborami znacząco osłabiło pozycję ugrupowań lewicowych, które ostatecznie musiały uznać swą porażkę i ogromny sukces Związku Ludowo-Narodowego, czyli zjednoczonych chadeków, endeków i konserwatystów. Jeden zamach pozwolił Piłsudskiemu na dokonanie kilku sprawnych chirurgicznych posunięć na scenie politycznej i w rzeczywistości wzmocnił jego pozycję, mimo iż oficjalnie skierowany był także przeciw niemu.

To tylko przypuszczenia...

I to w tych wydarzeniach jest najbardziej interesujące. Nie mamy jednoznacznych dowodów, musimy opierać się na poszlakach. Argumentów za odejściem od pierwotnych interpretacji zamachu Januszajtisa jest więcej. Oficjalna wersja mówiła o próbie zamachu prawicy, ale czy gdyby tak było, zamachowców nie powinna spotkać sprawiedliwa kara? W świetle prawa za próbę przygotowania zamachu stanu spiskowcom groziło wieloletnie więzienie. Nic jednak podobnego nie nastąpiło. Januszajtis na bardzo krótko został odsunięty z armii, a

już po kilkunastu miesiącach jego wojskowa kariera powróciła na dawne tory. Jeszcze lepszym przykładem są losy Sapiehy. Już w pół roku później został posłem w Wielkiej Brytanii, a później nawet ministrem spraw zagranicznych, i to z poparciem Józefa Piłsudskiego. Tymczasem gen. Szeptycki, który rozbił zamach i ocalił legalny rząd, nie dość, że nie został za swą postawę w żaden sposób nagrodzony, to niedługo potem stał się głównym wrogiem Naczelnika Państwa, zwalczanym i poniżanym "austriackim generałem".

A zatem czy było to wydarzenie ważne, czy tylko incydent? Inspirowane przez Piłsudskiego, czy tylko bardzo dla niego korzystne?

Nie twierdzą kategorię, że inspiracja dla zamachowców wyszła z Belwederu, a Józef Piłsudski podczas jednego z - nawiasem mówiąc, bardzo częstych - spotkań z Sapiehą nakłonił go do tego wystąpienia. Jeśli nawet nie zrobił tego nieświadomie lub nie uczynił tego w ogóle, należy uznać, iż sam zamach był mu bardzo pomocny.

Niezależnie od tego, jakie były jego powody, zamach był jednym z bardziej interesujących i niewyjaśnionych w pełni wydarzeń związanych z odrodzeniem i odbudową niepodległego państwa polskiego. Pamiętajmy też, że nie był to jedyny i wcale nie pierwszy zamach stanu w dwudziestoleciu. W drodze zamachu stanu ugrupowań lewicowych powstał

przecież Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej w Lublinie. Także prawica miała już na swoim koncie niedemokratyczne wystąpienie i tzw. groteskowy względnie papierowy zamach stanu ministra Chrzanowskiego, gdzie to za pomocą zwykłej odezwy rząd Świeżyńskiego próbował obalić Radę Regencyjną. Na najbardziej znany zamach stanu - przewrót majowy Piłsudskiego - przyszło poczekać jeszcze kilka lat, chociaż warto pamiętać, że i piłsudzycy planowali akcje zbrojnego przejścia władzy znacznie wcześniej, bo już w 1922 roku.

Dr Błażej Poboży - pracownik Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w historii II Rzeczypospolitej, opublikował m.in.: *Ewolucja ustroju samorządu terytorialnego m.st. Warszawy w koncepcjach organizacji społeczno-politycznych oraz ustawodawstwie w latach 1989-2003; Wprowadzenie do teorii społeczeństwa obywatelskiego.*

Fotografia: jeden z przywódców zamachu stanu książe Eustachy Sapieha w 1928 r., [Narodowe Archiwum Cyfrowe](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Rasowe terenówki z ramą - klasyka gatunku



Rynek samochodów z napędem na wszystkie koła przeszedł w ostatnich latach daleko idącą rewolucję. Oferta obejmująca terenówki osadzone na ramie, wyposażone w reduktory i blokady mostów, znacznie się zmniejszyła. Nie oznacza to jednak, że fani tych samochodów zostali całkowicie pozbawieni możliwości zakupu takiego auta.

Według specjalistów JATO Dynamics SUV-y są obecnie najszybciej rozwijającym się segmentem pojazdów. W 2006 roku ich udział na rynku europejskim

wynosił 7 proc., a w 2016 roku wzrósł do 26 proc. Przewiduje się, że w 2020 roku SUV-y osiągną udział na poziomie 33 proc.

Również na polskim rynku – zgodnie z danymi PZPM opublikowanymi w raporcie „Rynek motoryzacyjny. Edycja Q4/2017” – segment „small/midsize SUV & crossover” odnotował wzrost o 26,7 proc. i jest obecnie drugim – po segmencie C – największym pod względem ilości rejestracji segmentem w Polsce.

Na rynku pozostały tylko terenowe legendy

Jeszcze kilkanaście lat temu oferta nowych samochodów terenowych była znacznie szersza. Każdy liczący się producent miał w swojej gamie modele wyposażone w reduktory i blokady mostów. Samochody te były w stanie – nawet bez większych modyfikacji – pokonać najtrudniejsze terenowe przeszkody.

Obecnie producentów, którzy na polskim rynku oferują nowe samochody terenowe osadzone na ramie, można policzyć na palcach jednej ręki. Oferta takich aut obejmuje modele o najbardziej ugruntowanej pozycji, które – pomimo zmian w upodobaniach masowego nabywcy – mają się bardzo dobrze. Co więcej, systematycznie pojawiają się ich kolejne modyfikacje.

„Głównymi odbiorcami klasycznych samochodów terenowych, osadzonych na ramie i posiadających całe spektrum mechanizmów ułatwiających poruszanie się w trudnym terenie, od zawsze było wojsko i inne służby mundurowe. Dzięki swoim zaletom samochody te trafiły również do prywatnego odbiorcy, a w końcu zaczęły być używane w motorsporcie” – komentuje Grzegorz Baran, kierowca wyścigowy i pilot rajdowy, startujący m.in. w Rajdzie Dakar. – „Fani samochodów terenowych dobrze wiedzą, że kluczem do sukcesu w znacznej mierze jest konstrukcja samochodu. Odporna na odkształcenia rama, na której mocowane jest nadwozie, zapewnia sztywność oraz zmniejsza podatność karoserii na obciążenia podczas jazdy w terenie, chroni przed uszkodzeniami, zapewnia wysoką wytrzymałość i trwałość.

Sprawdzamy polski rynek samochodów terenowych o konstrukcji ramowej – ile kosztują, jakie systemy oferują i jak są wyposażone.

Toyota Land Cruiser

Historia tego modelu sięga lat 50. ubiegłego wieku. Wtedy to został zaprezentowany przez Toyotę model BJ – zgrabna terenówka, która sprawdzała się w trudnym terenie. Zalety samochodu – prosta konstrukcja i niezawodność – sprawiły, że w 1953 roku rozpoczęto seryjną produkcję.

Oferowany w salonach Land Cruiser najnowszej generacji kosztuje w wersji 3-drzwiowej od 189 000 zł. Odmiana 5-drzwiowa została wyceniona na kwotę zaczynającą się od 199 000 zł. Samochód oferowany jest z silnikiem wysokoprężnym o pojemności 2,8 litra i mocy 177 KM.

Napęd przekazywany jest za pomocą manualnej lub automatycznej skrzyni biegów, która została wyposażona w selektor trybu jazdy. Kierowca może wybrać jedną z pięciu opcji – Normal, Eco oraz Comfort redukujący wstrząsy, a także poprawiające reakcję na gaz i zwiększające poziom mocy Sport i Sport S+.

Legendarne możliwości terenowe Land Cruiser zawdzięcza osadzeniu całej konstrukcji na odpornej na odkształcenia ramie. W samochodzie zastosowano ponadto stały napęd na cztery koła z centralnym mechanizmem różnicowym o ograniczonym poślizgu z blokadą. Land Cruiser posiada również możliwość blokowania mechanizmów różnicowych tylnej osi – do wyboru jest jedna z trzech opcji: dyferencjał otwarty, blokada mechaniczna oraz ograniczony poślizg automatycznie przenoszący moment obrotowy na koło z największą przyczepnością.

Jedną z ciekawostek technologicznych jest układ czterech kamer Multi-terrain Monitor, który pozwala monitorować drogę wokół auta. Centralny ekran

wyświetla widok 360 stopni, co ułatwia uniknąć potencjalnego niebezpieczeństwa.

Jazdę w terenie ułatwia system wspomagający zjazd ze wzniesienia, system utrzymujący stałą prędkość w terenie oraz aktywna kontrola trakcji, a także system wspomagający pokonywanie podjazdu. Land Cruiser może być wyposażony w układ zmiennej sztywności stabilizatorów. Samochód jest w stanie pokonać wzniesienie o nachyleniu 42 stopni, przechył boczny również może wynieść 42 stopnie. Głębokość brodzenia to 70 cm.

Na liście wyposażenia najnowszego Land Cruisera można znaleźć ponadto 8-calowy kolorowy ekran systemu multimedialnego, płaski panel sterowania klimatyzacją czy podgrzewane i wentylowane fotele. W opcji znajduje się także system multimedialny dla drugiego rzędu siedzeń i skórzana tapicerka.

Jeep Wrangler

Wrangler uznawany jest za spadkobiercę wojskowego Willysa. Samochód pojawił się w salonach sprzedaży w 1987 roku. Obecnie można go kupić w wersji trzy- i pięciodrzwiowej. W przypadku tej pierwszej wersji ceny zaczynają się od 156 100 zł, natomiast odmiana pięciodrzwiowa kosztuje od 173 300 zł. W obu przypadkach samochód jest napędzany silnikiem Diesla o pojemności 2,8 litra i mocy 200 KM. W ofercie znajduje się jeszcze silnik V6 o pojemności 3,6 litra – od 181 tys. zł za wersję 3-drzwiową i od 198 tys. zł za wersję 5-drzwiową.

Napęd 4x4 przekazywany jest w tym samochodzie za pomocą 5-stopniowej skrzyni automatycznej z nadbiegiem i systemem Autostick, który umożliwia zmianę symulowanych przełożeń. Układ dodatkowo jest wyposażony w skrzynię rozdzielczą oraz reduktor. Elektromechaniczne blokady przedniego i

tylnego mechanizmu różnicowego są dostępne zgodnie z cennikiem dla topowej odmiany tego modelu w cenie 195 200 zł (nadwozie 3-drzwiowe) oraz 212 400 zł (nadwozie 5-drzwiowe).

Jazda w trudnym terenie jest dodatkowo wspomagana dzięki rozłączanemu przedniemu stabilizatorowi, który występuje w najwyższej wersji wyposażenia – za pomocą przycisku można zwiększyć skok przedniego zawieszenia o 22 proc. Samochód jest również wyposażony w stalowe osłony do jazdy terenowej, a dzięki dodatkowemu zabezpieczeniu układów elektrycznych i uszczelnieniu nadwozia Wrangler umożliwia bezpieczne pokonywanie przeszkód wodnych o głębokości 50 cm.

Na liście wyposażenia znalazł się między innymi asystent ruszania pod górę oraz asystent zjazdu, a także system kontroli trakcji oparty na hamulcach i system przeciwdziałający wywróceniu się pojazdu. Samochód został ponadto wyposażony w automatyczną klimatyzację, komputer z wyświetlaczem, kompasem i wskaźnikiem temperatury, a także przyciski do sterowania radiem w kole kierownicy.

Suzuki Jimny

Jimny jest obecnie najtańszym osadzonym na ramie autem terenowym, które jest oferowane w polskich salonach. Jego ceny zaczynają się od 64 900 zł. W tej kwocie otrzymamy pojazd napędzany silnikiem o pojemności 1,3 litra i mocy 84 KM.

W przypadku tego modelu napęd przekazywany jest za pośrednictwem pięciobiegowej manualnej skrzyni przekładniowej lub czterostopniowego automatu. Układ napędowy umożliwia blokadę piast przednich oraz pozwala na przełączenia pomiędzy napędem na dwa i na wszystkie koła podczas jazdy. W trybie

4WD można dokonać wyboru pomiędzy trybem drogowym lub redukcyjnym.

Cała konstrukcja osadzona jest na ramie, która opiera się na zawieszeniu zależnym z trzema elementami prowadzącymi, sprężynami i sztywnymi mostami napędowymi. To klasyczne rozwiązanie z jednej strony wpływa na cenę samochodu, a z drugiej ułatwia jazdę w terenie. Co więcej, Jimny charakteryzuje się przyzwoitym kątem natarcia wynoszącym 34 stopnie, kątem rampowym o wartości 31 stopni oraz kątem zejścia wynoszącym 46 stopni.

Wersja podstawowa wyposażona jest między innymi w manualną klimatyzację, centralny zamek, elektrycznie regulowane szyby w drzwiach przednich oraz system audio, a także podgrzewane przednie fotele.

UAZ Hunter

Rosyjska terenowa legenda pojawiła się w 1972 roku i szybko zyskała uznanie służb mundurowych. Mówi się, że od tego czasu samochód ten uczestniczył w prawie każdym konflikcie zbrojnym. Obecnie w ofercie znajduje się następca klasycznego modelu 469 – UAZ Hunter, który dostępny jest również w Polsce.

UAZ Hunter ma prostą i pozbawioną zbędnej elektroniki konstrukcję. Sama linia nadwozia również wiele się nie zmieniła. Zgodnie z ostatnimi cennikami, samochód ten dostępny jest w Polsce od 68 000 zł. Pod maską znajduje się silnik benzynowy o pojemności 2,7 litra i mocy 148 KM. W cenie 2 000 zł importer oferuje tak zwany tuning mechaniczny tej jednostki – wymianę tłoków i zmianę stopnia sprężania – zwiększający jej moc do 180 KM. Na liście opcji dostępna jest również rosyjska jednostka Diesla z Common Rail o pojemności 2,2 litra i mocy 128 KM (dopłata 8 tys. zł).

Napęd przekazywany jest za pomocą manualnej skrzyni biegów o pięciu przełożeniach. Skrzynia rozdzielcza sterowana manualnie zapewnia stały napęd na tylne koła, sztywno zapinany napęd na przednią oś oraz biegi terenowe.

Lista wyposażenia samochodu nie jest długa. Zgodnie z cennikiem w standardzie znajduje się oświetlenie kabiny i fotele z regulacją położenia, a także składana tylna kanapa. Radio wymaga dopłaty na poziomie 1,5 tys. zł – co ciekawe konstrukcja samochodu nie zapewnia miejsca na montaż systemu audio. W opcji znajdują się również fotele obszyte skórą (2,5 tys. zł), klimatyzacja (6,5 tys. zł), a także „tuningowa deska rozdzielcza z tworzywa pomalowana na dowolny kolor” w cenie 1,2 tys. zł.

Zdolności terenowe samochodu zostały potwierdzone na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Prosta konstrukcja umożliwia pokonywanie wody o głębokości 80 cm, a kąt natarcia wynosi 50 stopni. W standardzie oferowane są mosty cywilne nowego typu SPICER (nierozpoławiane) o prześwicie 24 cm.

Mercedes Klasy G

Luksusowy Mercedes Klasy G także ma wojskowe korzenie. Prace nad niemiecką terenówką rozpoczęto w 1972 roku. Początkowo samochód trafił między innymi do armii Niemiec, Szwajcarii, Argentyny oraz Iranu.

Dostępna w salonach Klasa G kosztuje od 386 500 zł. Pod maską w tym przypadku znajduje się silnik Diesla w układzie V6 o pojemności 3 litrów i mocy na poziomie 245 KM. W ofercie producenta można ponadto znaleźć odmiany z silnikami benzynowymi: 4-litrowy V8 (310 KM) kosztuje od 512 500 zł, za 5,5-litrowy V8 (420 KM) trzeba zapłacić od 697 000 zł, natomiast najmocniejsza odmiana

wyposażona w silnik V12 o pojemności 6 litrów startuje od 1 319 500 zł.

Napęd na cztery koła przekazywany jest za pomocą automatycznej skrzyni biegów o 7 przełożeniach. Jej mechanizm potrafi pomijać poszczególne stopnie i przełączać bezpośrednio np. z biegu siódmego na piąty. Układ napędowy jest ponadto wyposażony w blokady mechanizmów różnicowych osi przedniej i tylnej oraz – w przypadku topowych wersji wyposażeniowych – regulowany system amortyzacji.

Samochód jest w stanie pokonać wzniesienie o nachyleniu do 45 stopni, a zabezpieczenia wlotów zasysania powietrza do silnika, elektroniki i układu wydechowego pozwalają przejechać przez wodę o głębokości 60 cm. Co więcej, nachylenie boczne może wynieść aż 54 proc.

We wnętrzu kabiny znajdziemy między innymi wielofunkcyjną kierownicę, multimedialny system audio oraz dwustrefową automatyczną klimatyzację, a także fotele i zagłówki sterowane elektronicznie z funkcją pamięci.

Na liście dostępnych opcjonalnie systemów wspomagania znajduje się między innymi aktywny asystent odległości, system włączania świateł w zależności od jasności otoczenia, asystent parkowania i asystent martwego punktu.



Historia kierownic w samochodach SKODY



U zarania dziejów motoryzacji, kierownica nie była oczywistym wyborem: pierwsze pojazdy sterowało się z pomocą dźwigni lub korby. Kierownice pojawiły się pod koniec XIX wieku i od tego czasu przeszły ogromną przemianę w zakresie materiałów, z których są wykonane i funkcji, które mogą spełniać. Dzięki eksponatom zebranych w ŠKODA MUSEUM można prześledzić ewolucję, jaką ta część samochodu przeszła na przestrzeni ostatnich stu lat.

Laurin & Klement VOITURETTE A(eksponat z 1905 roku)

Pierwszy owoc współpracy Panów Laurina i Klementa był już wyposażony w kierownicę, ale sposób kierowania samochodem znacznie odbiegał od tego, do którego jesteśmy przyzwyczajeni dzisiaj. Dźwignia zamontowana pośrodku kierownicy pełniła funkcję akceleratora, jako że w podłodze były zamontowane tylko dwa pedały: sprzęgła i hamulca.



Laurin & Klement ŠKODA 110 (eksponat z 1925 roku)



Pedał gazu znalazł już swoje miejsce na podłodze, ale dźwignia sterująca tą samą funkcją pozostała także na kierownicy. Wykorzystywano ją do ręcznego regulowania prędkości – słowem, było to coś na kształt dalekiego przodka tempomatu! Wówczas jednak było to rozwiązanie podyktowane bardziej bezpieczeństwem niż komfortem; w czasach, gdy prymitywne zawieszenia słabo tłumily duże nierówności dominujące na ówczesnych drogach, utrzymanie jednostajnego nacisku na pedale gazu w trzęsącym się samochodzie było trudnym zadaniem – zdecydowanie skuteczniejszym było wyznaczenie prędkości z pomocą korby na kierownicy.

ŠKODA 860 (eksponat z 1932 roku)

Wajchy uruchamiające światła i kierunkowskazy pojawiły się przy kierownicy w latach 30. W tym czasie ŠKODA produkowała między innymi luksusowy model 860. Rozwiązanie to nie przetrwało jednak długo.



ŠKODA 1201 „Sedan” (eksponat z 1952 roku)

Wraz ze wzrostem natężenia ruchu coraz częściej sięgano po klakson. Gdyby znajdował się on gdzieś na desce rozdzielczej nie byłoby to ani praktycznie ani komfortowe, więc przeniesiono go wprost na sam środek kierownicy.



ŠKODA 1000 MB (eksponat z 1966 roku)

Po wielu latach nieobecności, wajchy w końcu wracają na kolumnę kierownicy. Te od świateł mijania i drogowych na jej prawą stronę, te od kierunkowskazów na lewą. Tym razem klakson uruchamia się poprzez wciśnięcie jednej z wajch do środka.

ŠKODA OCTAVIA RS (2017 rok)

Kierownice we współczesnych modelach ŠKODY są już wielofunkcyjne – zaprojektowano je tak, by kierowca z poziomu kierownicy mógł sterować szeregiem różnych funkcji samochodu. Cały czas ewoluje także kształt kierownicy: coraz częściej nie jest już ona zupełnie okrągła, a na przykład częściowo spłaszczona, tak by podkreślić sportowy charakter modelu i uczynić zajmowanie miejsca za kierownicą jeszcze wygodniejszym i sprawniejszym.



GŁOS WOLNEJ EUROPY

CZYLI WOJNA W ETERZE

SPOTKANIE Z AUTORAMI KOMIKSU:

MARIUSZEM URBANKIEM
MATEUSZEM PALKĄ
PAWŁEM JANCZARKIEM

31.01.2018

G. 17:00



WYDAWNICTWO
OSSOLINEUM



MUZEM
PANA
TADEUSZA
OSSOLINEUM

Południowy Tyrol - niezapomniany urlop w gospodarstwie



Sposobów na spędzenie zimowego urlopu może być bardzo wiele. Od aktywnego narciarstwa, przez wędrówki po zaśnieżonych górach, po nocne przejażdżki konne czy spacer z pochodniami. To właśnie teraz jest najlepszy moment by wybrać jedną z ponad 1600 farm agroturystycznych spod znaku Roter Hahn w Południowym Tyrolu na bazę zimowego wypoczynku.

W styczniu, gdy przyroda pogrążona jest w zimowym śnie, gdy w domach Południowego Tyrolu nastaje spokój po dość ożywionym sezonie bożonarodzeniowym, właściciele gospodarstw agroturystycznych mają znacznie więcej czasu, który mogą poświęcić nam m.in. na odkrywanie uroków tego regionu, miejsc, w które rzadko docierają turyści, na pokazanie nam swoich codziennych zwyczajów i wreszcie

na wspólne majsterkowanie i biesiadowanie przy stołach wypełnionych tyrolskimi przysmakami.

Największą zaletą tutejszych farm agroturystycznych jest ich liczba i różnorodność. Niezależnie od tego czy szukamy lokalizacji na uboczu czy też w pobliżu miasta, z nowoczesnym wystrojem, czy w stylu rustykalnym, czy ma to być rodzinny urlop czy samotny

wypad na narty, wśród ponad 1600 gospodarstw każdy z nas znajdzie odpowiednie dla siebie miejsce. Najważniejsze cechy kwater to rodzinna atmosfera, własne produkty oraz wiedza i doświadczenie, którymi gospodarze dzielą się chętnie z gośćmi.

To idealne miejsca zarówno dla zapalonych narciarzy, ale również dla tych co preferują wędrówki, saneczkarstwo, łyżwiarstwo, a nawet tych niezdecydowanych. W bogatej ofercie regionu znajdziemy wiele rozmaitych i niecodziennych możliwości czerpania z zimowej aury jak np. snowkiting czyli surfowanie na nartach z użyciem latawca jako napędu. Ten nowy sport ściga w okolicy Rittner Horn na hali Seiser i nad jezioro Reschen w Vinschgau wielu amatorów. Jeśli chcemy zamieszkać w okolicy wystarczy zajrzeć do okolicznych farm: gospodarstwa w Ritten i gospodarstwa na hali Seiser. Jedną z najciekawszych imprez dla amatorów tego sportu jest International Snowkite Open i Mistrzostwa Włoch 2018, które odbędą się w Lake Resia / Reschen w Górnej Val Venosta w lutym, w tym w dyscyplinach Freestyle i Race. Freestyliarze będą bawić widzów swoimi wspaniałymi skokami, zaś zawodnicy snowkite będą konkurować z latawcami i latawcami kaskaderskimi na zamrzniętym jeziorze o długości 6 km, osiągając prędkość maksymalną do 100 km / h.

Z kolei miłośnicy curlingu i curlingu bawarskiego (uproszczona wersja tego sportu, w której wykorzystywane są krążki z pionowymi uchwyty) najchętniej wybierają się nad jezioro Antholzer i nad jezioro Toblacher, żeby tam uprawiać swój ulubiony sport. Warto wtedy wybrać gospodarstwa w Antholz lub gospodarstwa w dolinie Hochpuster.

Jeśli natomiast wolimy jazdę na łyżwach, dobrze nadaje się do tego jezioro Reschen w Vinschgau (znane z zatopionej wieży) i

jezioro Durnholzer w dolinie Sarn (jednej z najbardziej tradycyjnych dolin Południowego Tyrolu). By zamieszkać blisko tych miejsc powinniśmy wybrać gospodarstwa w Graun nad jeziorem Reschen lub gospodarstwa w dolinie Sarn.

W górskiej wiosce Rabenstein w dolinie Passeier co roku powstaje jedna z największych w Europie sztucznych instalacji do wspinaczki po lodzie. Najbliżej Rabenstein znajdują się gospodarstwa w dolinie Passeier. Kto chciałby odpoczywać w spokojniejszym tempie, może odkrywać zimowe krajobrazy Południowego Tyrolu podczas wędrówek po całym regionie, na przykład na hali Villanderer czy w dolinie Vilsnösser, na halach Rodenecker i Lüsner, a także w dolinie Ulten znanej z naturalnej, nienaruszonej przyrody.

Miłośnicy nart i rozrywki na śniegu znajdą wiele możliwości, aby po prostu cieszyć się z zimowej aury i swoich ulubionych sportów. Od stycznia do końca marca 2018 r. odbędzie się ponad 1000 imprez w Południowym Tyrolu nawiązujących do popularnych tutaj aktywności, takich jak wieczorne imprezy narciarskie, wędrówki z pochodniami, narty safari, tobogganing, czyli zjazdy na lekkich saneczkach w świetle księżyca, czy coraz bardziej popularny (również na polskich stokach) snowtubing (także nocą, na przykład w Olang). To bezpieczna odmiana jazdy na oponach. Na szczyt wywozi oponę specjalny wyciąg. Później już tylko przygotowanie i można ruszać. Szybko osiąga się zawrotne tempo i pędzi w dół. Skoki na bok, wstrząsy – dlatego do mety ciężko dotrzeć w normalnej pozycji. I właśnie o to chodzi w snowtubingu: musi być wesoło.

Oto kilka przykładów zimowych imprez w Południowym Tyrolu:

Puchar Świata w Biathlonie w Antholz
18.01. - 21.01.2018

Maraton narciarski Gsieser Tal Lauf w
Gsies 17.02. - 18.02.2018

Narciarstwo biegowe dla amatorów w
Toblach - Cortina 03.02. - 04.02.2018

Więcej informacji o wymienionych
atrakcjach można znaleźć pod adresem:
<https://www.roterhahn.pl/pl/zimowy-urlop-w-poludniowym-tyrolu/>

WM
BP



www.wbpg.org.pl

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku
zaprasza

Maciej Badowicz

„Studium z dziejów wina w państwie zakonu
krzyżackiego w Prusach (XIV-XV w.). Produkcja –
dystrybucja – konsumpcja”

Obrót towarami luksusowymi w średniowieczu był jednym z elementów budowania prestiżu i pozycji na arenie międzynarodowej. Gotowość do ponoszenia opłat za sprowadzenie towaru, m.in. cła i kosztów pośrednictwa, świadczyła o potencjale gospodarczym i ekonomicznym państwa zakonu krzyżackiego w Prusach. Do produktów luksusowych zaliczano wówczas alkohole, w tym wino. Treść pracy porusza problem opłat, ponoszonych przez Zakon, związanych ze sprowadzeniem i dystrybucją wina na terenie państwa na przełomie XIV i XV wieku. Dotychczasowe badania w tym zakresie nie uwzględniały konkretnych informacji zawartych w źródłach.



1 lutego 2018 (czwartek) o godz. 17:30
Filia Gdańska WIMBP
ul. Mariacka 42, Gdańsk-Śródmieście

WM
BP
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JOSEPHA CONRADA
KORZENIOWSKIEGO
W GDAŃSKU

INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
POMORSKIEGO

GDANSK
INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA GDANSKIA


Wydawnictwo
Uniwersytetu Gdańskiego

Chodź
do Biblioteki!

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001